

✓
„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Octobre 1970

Price 4/-

Cena 4/-
\$ 0.50; 2.70 F.



SYRENA

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

B.D.K.

ORZEŁ BIAŁY

PAŹDZIERNIK

1970

Nr 75/1222



Fot. W. Bednarski

Z UROCZYSTOŚCI INAUGURACYJNEJ KONGRESU
WSPÓŁCZESNEJ NAUKI I KULTURY POLSKIEJ
NA OBCZYŻNIE

Londyn 9 do 12 września
1970

F° P 2156

EUGENIA WASILEWSKA

SREBRNA MADONNA

THE SILVER MADONNA

Zdumiewający dokument ucieczki Polki wywiezionej do Rosji z Syberii do granic własnego kraju. Wzruszające przeżycia w czasie wielomiesięcznej podróży, na wolności oraz w pociągu więziennym.



Wymarzony podarek świąteczny dla naszych przyjaciół angielskich i polskich.



Cena £ 1.80 = 36s.

George Allen and Anwin

London, 1970

Październik miesiącem Skarbu Narodowego

Każdego roku z początkiem października ukazywał się apel Generała Andersa o wzmożenie zbórki na Skarb Narodowy. Październik jest bowiem miesiącem SKARBU NARODOWEGO.

Po apelu tym działacze i pełnomocnicy Skarbu Narodowego krzyżowali się, by dobrze spełnić rolę kwatermistrzów na ten obywatelski cel, by jak najwydatniej zwiększyć wpływ.

W roku bieżącym czeka nas w październiku to samo zadanie. Choć pozbawieni kierownictwa naszego Przywódcy — mamy w pamięci Jego wskazania, Jego przykład i gorliwość w zaspakajaniu potrzeb akcji niepodległościowej.

Pełniąc obecnie obowiązki Przewodniczącego Głównej Komisji Skarbu Narodowego przypominam o roli, jaką nas — działacze Skarbu Narodowego — czeka w październiku.

Apeluję do polskiej społeczności emigracyjnej o wzmożenie ofiarności, tak jak dotąd było w zwyczaju w miesiącu Skarbu Narodowego. Akt ofiarności naszej będzie wypełnieniem wskazań pozostawionych nam przez długoletniego Przewodniczącego i jednego z założycieli SKARBU NARODOWEGO — Generała Andersa.

Przewodniczący Głównej Komisji
SKARBU NARODOWEGO
w/z (-) Roman Odzierzyński, gen.

W NUMERZE:

J. Lobodowski: Na przełomie epok	1
Kage: Przegląd spraw wojskowych	3
E. Hinterhoff: Dzieje paktów rosyjsko-niemieckich	4
Z. Grabowski: Refleksje na temat demokracji	7
M. Tomkiewicz: Dyplomata i pisarz	9
W. Netter: Ameryka cofa się z pozycji pierwszego mocarstwa	12
M. Wyrwicz: Zmartwychwstanie Stalina	14
A. Stamborowski: Wielkie Księstwo Litewskie	16
F. Goldschlag: Z zagadnień genetyki	18
Z. Junosza: Niagara Falls	20
A. Szachnowski: Tajemnice piramid	22
M. Budek: Aleksander Bobkowski, pionier narciarstwa i żeglarstwa w Polsce	24
W. Günther: Poeta Życia	27
W. G.: Magia teatru	29
Z życia polskiego	31
W. Opolski: Normy i nadgodziny	34
J. Wygad-Wygadowicz: Jeszcze raz o indyku	35
J. Ost.: Notatnik kulturalny	37
Jan Ostrowski: „Marcholt“; „Ładne kwiatki“	19
S. Legeżyński: „Wystawa letnia“	39

LISTY DO REDAKCJI

„...NIE MOGĘ COFNAĆ... KRYTYCZNYCH UWAG“

Szanowny Panie Redaktorze,

List pana gen. Mariana Kukiela w odpowiedzi na moją recenzję o książce Jego „Gen. Sikorski“ uważam za wyróżnienie ze strony seniora polskich historyków i mego ongiś przed przeszło pół wiekiem profesora w Wyższej Szkole Wojennej.

Uwagi Jego zmuszają mnie jednak do stwierdzenia, że nie mogę cofnąć żadnego z moich zarzutów i żadnej z krytycznych uwag. Żałuję jedynie i to uczciwie, że książki Jego nie przeczytałem nieco wcześniej, tak bym mógł otwarcie, na zebraniu publicznym, poświęconym omówieniu jego najnowszej pracy historycznej, którą nazwałem hagiografią — wystąpić z moimi krytycznymi uwagami i publicznie przywołać „świadków historii“, których wypowiedzi podtrzymują raczej moje zastrzeżenia a nie jego wywody i tezy.

W mojej recenzji poruszyłem najbardziej dramatyczną i trudną chwilę w Legionach — kryzys przysięgowy z czerwca 1917 roku, tak, jak go wykladał nam nasz profesor w Wyższej Szkole Wojskowej.

Nie sądzę, by po 50 przeszło latach w tej wykładni faktów i zasadniczych decyzji Komendanta można obecnie coś zmienić.

Gen. Kukiel ani jednym słowem nie wspominał, że niemal analogiczne do moich zarzutów dotyczących nowego ujęcia tej sprawy przez niego — odmówienia przysięgi na wierność monarchom Niemiec i Austrii czyli (tzw. kryzysu przysięgowego — są obecne recenzje zarówno prof. dr Stahla jak i wybitnego publicysty obozu narodowego p. Piszczkowskiego. Pominął również, na co wskazywałem, wręcz znakomite, jasne i dosadne

relacje w wielkiej księdze prof. A. Prażmiera „Czas przeszły dokonany“. Odsyła mnie „raz jeszcze“ do pracy historycznej amb. Michała Sokolnickiego, starego pilsudczyka i ongiś bliskiego współpracownika Pilsudskiego.

Powołałem się na nią cytując w „Niepodległości“ prof. Tytusa Komarnickiego, z której wynika, że Sokolnicki mylił się i częściowo to uznał.

Mylił się nieraz „pilsudczyca“, którzy nie zawsze nadawali za myślami politycznymi swego Komendanta. Przecież w sierpniu 1915 roku, gdy od pobytu Komendanta w wyzwolonej od Moskali, ale przez obcych stolicy zaczął się ów kryzys Legionów jak i w drugim jego etapie, jesienią 1916 roku po ustąpieniu Pilsudskiego i Sosnkowskiego z Legionów — Marian Kukiel, podówczas wybitny oficer I. Brygady, wyróżniony w rozkazie dziennym po bitwie pod Kostiuchnówką — był chyba — (jak sądzić można): zwolennikiem polityki Pilsudskiego i miał do niej pełne zaufanie. Podobnie jak cała I. Brygada oraz pułki 4-ty i 5-ty z III. Brygady. Szły za nim murem.

Zmiana nastąpiła dopiero później — w okresie przysięgowym w 1917 roku.

Wówczas, chyba płk. Kukiel — jeden z nielicznych, obok Berbeckiego i Żymierskiego — wyższych oficerów Brygad pozostał w „Wehrmachcie“, w „Królewskim Wojsku Polskim“ wedle obecnego określenia, ale na szczęście b. nielicznym w wojsku, którego dowódcą był ekscelencja gen. v. Beseler, zdobywca Antwerpii itd.

Trudno zrozumieć gen. Kukiela, jako wybitnego historyka i to specjalnie tego okresu, gdy w roku 1970 wysuwa nadal jako słuszną koncepcję — „Królewskiego Wojska Polskiego“ i ubolewa (m.in. rów-

(C.d. listów na 3-ej str. oki.)

NA CZYM w gruncie rzeczy oparte są rachuby, że prędzej czy później można będzie ułożyć modus vivendi ze Związkiem Sowieckim? Mówiąc z grubsza, na nadziei, że Moskwa zrezygnuje z planów opanowania całego świata. Cała polityka mocarstw zachodnich, która od roku 1945 przechodziła przez różne etapy, zmiany i załamania, nigdy nie stawiała sobie za cel wyparcie Sowietów z krajów, zdobytych w drugiej wojnie światowej, a obecnie kontrolowanych politycznie i gospodarczo, pod stałą groźbą zbrojnej interwencji. Zmiany w tej polityce miały i mają charakter wyłącznie taktyczny. Gdyby istniała koncepcja strategiczna, zupełnie inaczej wyglądałaby reakcja Zachodu na rok 1956 i 1968.

To samo dotyczy Azji. Wojna koreańska była typową akcją powstrzymującą, podobnie jak obecnie wojna w Indochinach; niepodobna już mówić o samym Wietnamie, skoro w ogniu stoi Kambodża i Laos. Gdy Truman odrzucił jedynie rozsądny plan gen. Mac Arthura, stało się jasne, że na kontynencie azjatyckim nie będzie pokoju. Brak koncepcji strategicznej zemścił się i tu i mści się po dziś dzień.

Wiadomo było od początku, że Sowiety będą podsycać i prowokować zbrojne konflikty wszędzie, gdzie się tylko da. Wypływa to nie z widzimisie aktualnych wielkorządców, lecz z samej natury systemu. Ludzie stojący u władzy zmieniają się, również zmieniają się pod niektórymi względami ich metody, cel pozostaje niezmienny.

Imperializm carski miał cele ograniczone. Słynny testament Piotra Wielkiego był oczywistym apokryfem, falsyfikatem, ale gdyby Piotr istotnie zostawił pisany testament, wyglądałby on identycznie, albo prawie identycznie. Następcy rewolucjonisty-reformatora szli dokładnie po linii, wykreślonej w apokryfie, choć zdarzały się liczne załamania.

Chodziło więc z jednej strony o likwidację Rzeczypospolitej, z drugiej o zdobycie Carogrodu, a wraz z nim Bałkanów. To narażało nie tylko na nieustający konflikt z Turcją,



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

B.D.I.C

Nr 75/1222

PAŹDZIERNIK 1970

Rok XXX

JÓZEF ŁOBODOWSKI

NA PRZEŁOMIE EPOK

ale z biegiem lat także z Austrią, która już od wojny krymskiej z dawnego sprzymierzeńca zamieniła się we wroga. Panslawizm wysuwał postulat zebrania pod „czapką Monomacha“ wszystkich narodów słowiańskich; mit o Trzecim Rzymie („czwartego nie będzie!“), nie pozwalała na zrezygnowanie z podboju Konstantynopola; prawosławie żądało prawa do wyłącznej „opieki“ nad Grobem Pańskim.

Po podboju Kaukazu (1864) wydawało się, że już leży otworem droga przez Persję ku brzegom oceanu Indyjskiego: sen o trzech oceanach wszedł w skład wielkiej koncepcji imperialnej. Na Afganistan, Mongolię, Mandżurię, Koreę patrzono w Petersburgu jak na pewny łup.

Plany ambitne, ale o ileż skromniejsze od dzisiejszych. Żaden z carów rosyjskich nie myślał o opanowaniu całej Europy, tym mniej całego świata. A teraz taki program istnieje i jest realizowany z żelazną konsekwencją. Stare tradycje imperialistyczne plus uniwersalna doktryna komunistyczna zlały się w jedną harmonijną całość: Moskwa ma stać się stolicą świata. Tego programu nikt nie podważy ani obali żadną perswazją; można mu przeciwstawić jedynie siłę.

II.

Olbrzymi wysiłek zbrojeniowy Związku Sowieckiego jest nastawiony bardziej na działania zaczepne, niż na obronę. Wysiłku tego nie wytrzymałoby żadne inne państwo o

identycznych możliwościach gospodarczych. Nigdzie chłopci i robotnicy nie zgodziliby się żyć i pracować w takich warunkach. Ta beczka dawno by się rozleciała, gdyby nie żelazne obręcze bezwzględного, nieludzkiego systemu. Niewolniczy ustroj umożliwia olbrzymie zbrojenia, nie usprawiedliwione żadną racją obronną. Ale i tu istnieje granica, której nie da się przekroczyć. Jak się zdaje, Związek Sowiecki już doszedł, albo dochodzi do maksimum swoich możliwości zbrojeniowych.

Nie znaczy to, aby w Moskwie przewidywano otwartą, powszechną wojnę z Zachodem, która musiałaby ogarnąć cały świat. Natomiast idealnym rozwiązaniem są wojny lokalne, wybuchające to tu, to tam, bez bezpośredniego angażowania się Sowietów. Ale i takie wojny nie stwarzają sytuacji, w której można by pokusić się o władzę nad całą ludzkością. Dopiero sytuacja rewolucyjna, do której doprowadzić należy poprzez stopniowe osłabianie spoiwości społeczeństw zachodnich i ich głębokie demoralizowanie, dałaby wielką, historyczną szansę.

Gdy komunistyczna propaganda mówi o „zgniłym“ Zachodzie, trzeba to interpretować w dwoisty sposób. Dla komunistów wszystko, co znalazło się poza ustrojem „socjalistycznym“, jest zgniłe i skazane na stopniowe obumieranie. To oczywista bzdura, ale w innym sensie przymiotnik „zgniły“ nie jest pozbawiony realnej wymowy. Zachód przeżywa nie tyle kryzys ustrojowy, co moral-

no-ideologiczny, ponieważ w znacznym stopniu utracił wiarę w wartość swoich cywilizacyjno-kulturowych tradycji.

Bunt młodzieżowy — nie jest istotne, że często przejawia się w formach groteskowych — jest nie tylko objawem braku zaufania do starszego pokolenia: to nie byłoby tak bardzo groźne, konflikty pokoleń są stare jak świat. Gorzej, że ta buntująca się młodzież wie czego nie chce, co się jej nie podoba, czego nie lubi, natomiast nie ma zielonego pojęcia, co zbudować na miejscu oczyszczonym z ruin. Rewolucja dla rewolucji, względnie wiara w rewolucję, która sama w miarę swego realizowania się zaczyna stwarzać nowe wartości, jest zjawiskiem jawowym, a więc nihilizmem w czystej postaci.

Ale znaczna część winy spada na starszych. Gdy się nie potrafi pokazać młodemu żadnego innego ideału życiowego, prócz konsumpcyjnego, gdy postawa moralna grzęźnie w etyce typowo utylitarnej, a jednocześnie ofiaruje się na każdym kroku jaskrawe przykłady hipokryzji społecznej i politycznej, trudno dziwić się żalonym wynikom. Młodzież zaczyna w takiej sytuacji szukać na oślep i znajduje fałszywych bożków, namiastki autentycznych wartości. Stąd ten kult Fidela Castro, „Che“ Guevary, Mao Tse Tung, albo też ucieczka w pseudo-muzykę, pseudotaniec, pseudo-sztukę.

Wolny świat prowadzi od przeszło ćwierćwiecza politykę zarówno niemoralną, jak egoistycznie krótkowzroczną. Każdy weteran wojny koreańskiej ma prawo zapytać: — Po co walczyłem, po co ginęli moi koledzy, skoro w wyniku naród koreański pozostał, jak był, podzielony? Więc „brudna wojna“? Tak, brudna, choć w innym znaczeniu niż temu określeniu nadaje propaganda komunistyczna. Brudna, bo pozbawiona moralnego uzasadnienia i moralnych konsekwencji.

Wolny świat przeszedł do porządku dziennego nad tragedią Węgier w 1956, Czechosłowacji — w 1968. Bez zmruczenia oka pozwolił na eksterminację nieszczęsnych Ibów w Biafrze, nie go nie obchodzi los murzynów w południowym Sudanie, a wcześniej nie kiwnął palcem w obro-

nie Tybetańczyków, nie zdobywając się nawet na platoniczny protest.

Przed stukilkudziesięciu laty pewien Francuz napisał, że począwszy od rozbiorów Polski Europa żyje w śmiertelnym grzechu. Cóż powiedzieć dziś, gdy nie tylko Polska, lecz pół tuzina innych narodów środkowo-europejskich znalazło się w sowieckiej niewoli! Chyba to, że wolny świat żyje w zwielokrotnionym grzechu śmiertelnym.

Gdy de Gaulle deklamował o Europie „od Atlantyku do Uralu“, w Moskwie dodawano po cichu: — Z centralnym rządem na Kremlu! Gdy mnożą się inicjatywy handlowe i rozbudowy przemysłu sowieckiego przy pomocy zachodnich kapitałów i techników, w Moskwie przypominają sobie z uśmiechem słynną powiedzenie Lenina o sznurach na stryczki jakich kapitaliści gotowi są dostarczyć bolszewikom po przystępnej cenie i na miarę własnych gardzieli. Wśród intelektualistów Zachodu działa energicznie piąta kolumna prosowiecka. Tak na rzecz Katarzyny II działali Diderot, Voltaire, D'Alambert. Ci przynajmniej wiedzieli co robią: inkasowali ciężkie sakiewki ze złotem; intelektualiści współcześni robią to bezpłatnie, ogarnięci głupotą, porażeni brakiem wszelkiego rozeznania moralnego.

Kiedyś wiadano: nie się nie mści tak bardzo, jak grzech przeciw Duchowi Świętemu. Ale jakież tam grzech, skoro o istnieniu Ducha Świętego w ogóle nie chce się słyszeć! A jak daleko poszło pomieszanie informacji i elementarnych pojęć, niech zaświadczą owe nieszczęsne gratulacje, złożone w roku ubiegłym przez Rzym na ręce patriarchy moskiewskiego, w pięćdziesiątą rocznicę odnowienia patriarchatu. Wyrażoną w tych gratulacjach opinię, że w roku 1919 prawosławie rosyjskie odzyskało swobodę działania i odrodziło się religijnie. Ze też w Watykanie nie domyślono się, iż te gratulacje były jak policzek, wymierzony ostatnim bohaterem chrześcijaństwa w Związku Sowieckim! Przykro powiedzieć — niestety, tak jest!!!

III.

Wolny świat nie powinien lękać się Związku Sowieckiego ani jego

maturalnej potęgi ani pocisków kosmicznych i arsenału atomowego, ani piątych kolumn komunistycznych. Stać go nie tylko na obronę, również stać go na czynne przeciwstawienie się. Ale pod jednym zasadniczym warunkiem. Że pełnemu rozeznaniu niebezpieczeństwa towarzyszyć będzie idea, postawa moralna, wynikająca z najlepszych tradycji świata zachodniego. Taka postawa, która, zdając sobie sprawę z całej antynomialnej obcości, wykluczy możliwość traktowania Związku Sowieckiego jako normalnego członka rodziny cywilizowanych narodów.

Zachód musi zdać sobie sprawę, że tu nie chodzi o takie czy inne rozgraniczenie sfery wpływów, takie czy inne terytorialne i gospodarcze interesy, jakiś tam zachodni Berlin, czy nawet o przewagę flot wojennych na morzu Śródziemnym; że stawką w toczącej się grze jest przyszość ludzkości, znajdującej się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Kraje, opanowane przez Sowietów w wyniku II wojny światowej, to nie tylko organizmy wasalne, kontrolowane i eksploatowane przez czerwone imperium, to również wypadowe place d'arme przeciw wolnemu światu.

Moskwa może zawrzeć niejedyn pakt z którymkolwiek państwem zachodnim, złożyć swój podpis na niejednej umowie międzynarodowej, i zawsze będą to weksle bez pokrycia, świstki bez żadnego znaczenia, obowiązujące tylko do czasu, jak długo będzie się to bolszewikom podobać i im dogadzać. Nawet rozmawiając z nimi, należy zawsze pamiętać, że ma się do czynienia ze śmiertelnym wrogiem, który z zamierzonych celów nie rezygnuje nigdy, najwyżej je odkłada.

A jego celem głównym jest zniszczenie tego wszystkiego, co składa się na pojęcie kultury zachodniej. Zniszczył ją u siebie, stara się zniszczyć w krajach mu podwładnych, czy przez niego kontrolowanych, chce ją zniszczyć wszędzie, gdzie istnieje.

Zrozumienie tej prostej prawdy stałoby się właściwym punktem wyjścia dla zwycięskiej kontrofensywy zachodu.

Józef Łobodowski

STANY ZJENDOCZONE A. PŁN.
Wysoce znamienym zjawiskiem jest fakt, że ślimacząca się wojna w Wietnamie, wykorzystywana coraz bezwzględniej przez koła pacyfistyczne i izolacjonistyczne oraz agentury dywersyjne, odbija się ujemniej na nastrojach mas amerykańskich, niż odbijała się swego czasu wojna koreańska, choć — wbrew pozorom — stanowi daleko mniejsze obciążenie amerykańskiej gospodarki. Wbrew pozorom o tyle, że podczas największego nasilenia walk w Korei budżet resortu obrony wynosił „zaledwie“ 48,7 miliardów dolarów, gdy w ostatnich dwu latach wzrósł do 72 i nawet 78 miliardów, a w bieżącym roku budżetowym sięga (mimo deeskalacji i różnych obcięć oszczędnościowych) znów 72 miliardów. Gdy jednak uwzględnimy ogromny wzrost cen coraz bardziej skomplikowanego sprzętu i duże podwyżki pensji i żołdu a przede wszystkim fakt, że od 1950 roku tak zwany „produkt socjalny“ społeczeństwa amerykańskiego zwiększył się z 285 do 970 miliardów dolarów, stwierdzimy, że w porównaniu z tym wzrostem zamożności wydatki na zbrojenia i ratowanie dalekowschodnich przyczółków relatywnie zmalały. Podczas największego nasilenia wojny koreańskiej pochłaniały one aż 13,4% produktu socjalnego, w ubiegłym roku budżetowym 7,9%, a w 1971 r. mają spaść do 6,9%, o ile sytuacja w Wietnamie się znów nie zaogni, a w Ameryce nie dojdzie do kryzysu gospodarczego.

Nie znaczy to, że przeciągająca się obrona Wietnamu i ostatnio także Kambodży nie pochłaniały i (mimo redukcji zaangażowanych sił — nie pochłaniają ogromnych sum, mianowicie 28 względnie obecnie 17 miliardów dolarów rocznie. Toteż, choć równocześnie zmniejsza ona bezrobocie, zrozumiałą jest tendencja Waszyngtonu do stopniowego zmniejszenia zaangażowania, jak zrozumiałe jest jego dążenie do oszczędności. Zwłaszcza, że sama obsługa długu państwowego, który wzrósł do 371 miliardów dolarów, kosztuje 18 miliardów, a całość budżetu związkowego przekracza już 200 miliardów, a z różnych podwyżek podatkowych trzeba było (głównie ze względu na nastroje) zrezygnować.

Nie dziw, że administracja ma ciężką przeprawę z Kongresem i że mimo pewnego zmniejszenia stanu liczebnego sił zbrojnych obciążenia odbijają się przede wszystkim na pozycjach inwestycyj-

nych, tzn. na możliwościach zakupu nowego sprzętu. Nawet w rządowym preliminarzu budżetowym kredyty na te cele zmniejszyły się od 1968/69 z 24 miliardów do 18,8 miliardów dolarów, a mogą się jeszcze bardziej zmniejszyć, ponieważ budżet resortu obrony wciąż nie jest zatwierdzony. Znamienne, że obciążenia te objęły wszystkie rodzaje sprzętu za wyjątkiem rakiet i że nadal najczęściej przeznaczają się na zakup samolotów (6,6 miliardów dolarów), a najmniej na zakup sprzętu pancernego (zaledwie 353 miliony), co się tłumaczy tym, że zrezygnowano ostatecznie z seryjnej produkcji czołgów MBT-70, przygotowywanych razem z przemysłem niemieckim. Niemniej znamieny jest fakt, że, o ile preliminarz zmniejsza kredyty na zakup sprzętu, o tyle utrzymuje na dotychczasowym, bardzo wysokim poziomie (7,4 miliardy dolarów) kredyty na studia, doświadczenia i prototypy. Wydaje się, że w tej dziedzinie pewien hamulec by się przydał, bo procent zarzuconych, a bardzo kosztownych projektów jest od dawna bardzo duży.

Sekretarz obrony Laird nie tylko zredukował lub zupełnie skreślił różne programy (jak wspomnianych czołgów MBT-70, myśliwców „F-111“, bombowców B-1, gąsienicowych olbrzymich transportowców „Gama Goat“ itd.), ale także przewiduje dalsze redukcje baz i reorganizację „Pentagonu“, byle uzyskać zgodę Kongresu na rozbudowę sieci rakiet i radarów przeciwrakietowych „Safeguard“ z 2 już zatwierdzonych do 7 systemów, rozmieszczonych od Pacyfiku do Atlantyku w pobliżu granicy z Kanadą. Zdołał on również przekonać większość senatorów, że lansowana przez wielu senatorów dalsza redukcja kredytów (do 66 miliardów) byłaby groźna, nie tylko dla bezpieczeństwa, ale także gospodarki Stanów.

Ze w tych warunkach następuje dalsze zmniejszenie darmowych dostaw sprzętu dla biednych sojuszników, a wzrasta amerykańska konkurencja w płatnym eksporcie broni i sprzętu wojskowego, jest rzeczą zrozumiałą. Ten płatny eksport przedstawia już w skali rocznej wartość blisko 2 miliardów dolarów, jest więc niemal 5-krotnie większy niż suma dostaw darmowych, gdy na przestrzeni 1950-1969 dał tylko 12 miliardów wobec 35 miliardów dolarów darowanych pod postacią sprzętu bez opłaty dostarczonego. Jak walnie przy-

czyniły się te darmowe dostawy do wzmocnienia sojuszników i zabezpieczenia wolnego świata zaświadczy najwymowniej fakt, że objęły min. 21.429 czołgów, 16.750 samolotów, blisko 1.000 helikopterów, 23.000 dział różnego kalibrów, 29.000 moździerzy, 27.000 rakiet, 100 niszczycieli fregat oraz 24 okręty podwodne. Najwięcej tego darmowego sprzętu otrzymały: Pół. Wietnam, Francja, Pół. Korea, Turcja i Formoza, gdy głównym odbiorcą płatnych dostaw były Niemcy Zachodnie.

W czerwcu zainstalowano w silosach pierwszą dziesiątkę pocisków międzykontynentalnych „Minuteman III“ o kilku głowicach atomowych, choć jeden z admirałów (Miller) rozwija energiczną akcję za przeniesieniem całego „odstraszaka“ na morze, strasząc, że wobec potężnych rakiet sowieckich „SS-9“ podziemne silosy są bez wartości. Chciałby on przy tym, nie licząc się z fantastycznymi kosztami i zagrożeniem ze strony sowieckich okrętów podwodnych, umieszczać wyrzutnie rakiet nie tylko w okrętach podwodnych, ale także na statkach handlowych, choć tabor amerykańskiej marynarki handlowej jest stary i zmniejsza się. Fakt, że zwalczanie pocisków międzykontynentalnych wyrzucanych z ruchomych wyrzutni byłoby trudniejsze, oczywiście nie równoważy tych mankamentów i dlatego doktryna ta chyba nigdy nie zostanie zrealizowana. Tak samo jak lansowane przez senatorów Goldwater i Hatfield zniesienie obowiązkowej służby wojskowej, przypominającej, łech zdaniem „feudalny system niewolnictwa“. Pierwszym krokiem w tym kierunku miało być podniesienie żołdu o 28 do 50%, co zwiększyłoby bardzo znacznie wydatki vegetacyjne. Znamienne jest, że mimo tego aż 33 senatorów głosowało za tym odrzuconym wnioskiem, powołując się na obietnicę Nixona w okresie przedwyborczym.

Rzecz inna, że z poborem kłopoty się mnożą, bo ilość uchylających się i dezertujących zwłaszcza do Kanady wzrasta, a ponadto przechodzi już w stan spoczynku kierujący od 1941 r. aparatem poborowym b. energiczny generał Hershey.

Skoro mowa o zmianach personalnych, warto także wspomnieć o tym, że szefem połączonych szefów sztabu został 1 lipca admirał Moorer i, że następcą gen. Abramsa w Wietnamie ma już niebawem zostać jego zastępca gen. Weyand.

Kage

DZIEJE PAKTÓW

Historia zna wiele przykładów paktów pomiędzy Niemcami a Rosją, obojętnie czy była to Rosja carska, czy też bolszewicka. W każdym prawie wypadku, konsekwencje tych paktów były zawsze negatywne dla Polski — dla jej interesów narodowych lub nawet dla jej istnienia.

Jeżeli idzie o bardziej odległą historię, już nie mówiąc o rozbiorach Polski, to warto by wymienić układ w Taurogach z 30 grudnia 1812 roku pomiędzy pruskim feld-marszałkiem York a generałem rosyjskim Dybiczem, w wyniku którego wojska pruskie, będące od tego czasu pod rozkazami Napoleona, przeszły na stronę rosyjską; układ ten o charakterze wojskowym przygotować miał teren dla układu już o charakterze politycznym, jakim miał być układ w Kaliszu z dnia 28 grudnia, 1813 roku, pomiędzy carem Aleksandrem I, a królem pruskim Karolem Fryderykiem Wilhelmem III, w myśl którego Prusy miały odstąpić Rosji część Polski w zamian za Saksonię. W konsekwencji, rosyjska strefa wpływów sięgałaby aż do Odry; jedynie na skutek sprzeciwów Metternicha i Talleyranda, układ ten nie wszedł w życie...

Innym układem pomiędzy Niemcami a Rosją — tym na równych prawach był układ zawarty przez Bismarcka w 1887 — tzw. „Rückversicherungsvertrag“, w myśl którego, w razie wojny pomiędzy Francją a Niemcami, Rosja miała zachować neutralność, i odwrotnie, Niemcy miały zachować neutralność, w razie wojny pomiędzy Rosją a Anglią. Są dane, że pomimo przystąpienia w roku 1907 Rosji do „Entente Cordiale“, car Mikołaj II prowadził z cesarzem Wilhelmem II tajne rozmowy na temat możliwości i zawarcia tajnego układu pomiędzy obu państwami; jedynie na skutek interwencji ówczesnego ministra spraw zagranicznych Sazonowa, dalsze rozmowy zostały zaniechane.

Jeżeli idzie o układy pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim, to pierwszym z nich, ilustrującym zarazem „elastyczność“ Rosjan w zmianie swoich sojuszów — procedura ta nazywa się w języku dyplomatycznym „renvesement des alliances“ — może być historia ukła-

du, jaki był zawarty w Brześciu Litewskim w marcu 1918 roku. Z chwilą dojścia przez bolszewików do władzy, Niemcy zrozumieli, że dawało to im możliwość oderwania Rosji od jej aliantów zachodnich. Już 15 grudnia podpisany został układ w sprawie zawieszenia broni, a w 5 dni później obie strony zgodziły się na rozpoczęcie rokowań pokojowych w Brześciu Litewskim.

Lenin z satysfakcją przyjął zaproszenie niemieckie dla rokowań, mając nadzieję, że ułatwią mu one możliwość propagandy komunistycznej na terenie Niemiec i wywołanie tam rewolucji. Stąd, delegacja sowiecka stosowała w czasie tych rokowań taktykę przeciągania ich i grania na czas; podczas tych rokowań, Trocki napisał na ścianie budynku, w którym odbywały się rokowania (później w budynku tym mieściło się Kasyno Oficerskie D.O.K. X) pamiętne słowa: „ni mir ni wojna“. Na skutek ultimatum zniecierpliwionych Niemców i wszczęcia przez nich ofensywy na szerokim froncie, delegacja sowiecka zaniechała dalszego kunktatorstwa i w dniu 3.III., został podpisany układ, na mocy którego Rosja straciła znaczne obszary na zachodzie, zobowiązując się zarazem do dostaw wielkich ilości zboża, ropy naftowej i innych surowców, niezbędnych dla niemieckiego przemysłu zbrojeniowego.

Zawarcie przez Rosję odrębnego pokoju z Niemcami uznane zostało przez aliantów zachodnich za zdradę. W konsekwencji, rządy zachodnie zdecydowały się na udzielenie pomocy „białym“ generałom rosyjskim, walczącym z bolszewikami, a zarazem oddziały brytyjskie wylądowały w Murmańsku. W związku z narastającym niebezpieczeństwem dla reżimu bolszewickiego, ówczesny komisarz dla spraw zagranicznych, Cziczerin, zwrócił się do nowomianowanego ambasadora Rzeszy w Moskwie, Helffericha z propozycją dania Niemcom wolnej ręki do działania na północy przeciwko

oddziałom brytyjskim. Wprawdzie, jak zaznaczył Cziczerin, „... jawne przymierze z Niemcami byłoby trudne, ze względu na opinię publiczną, ale ścisła współpraca jest zupełnie możliwa...“

Przy tej okazji Cziczerin wyraził ubolewanie, że Niemcy okazują pomoc wojskową „białym“ generałom działającym w basenie Donieckim, oraz współdziałają w tajemnicy z różnymi grupami polityków rosyjskich, wrogo nastawionych do nowego reżimu w Moskwie.

Układ pomiędzy Cziczerinem a Helfferichem sformułowany został w formie załącznika do umowy zawartej w Brześciu Litewskim. Kapitulacja Niemiec w listopadzie 1918 roku, położyła kres tej podwójnej grze prowadzonej w sposób cyniczny przez obie strony.

Projekt niemiecko-sowieckiego przymierza wojskowego wysunięty został ponownie, tym razem przez Niemców w lipcu 1920 roku, kiedy ofensywa sowiecka rozwijała się w sposób groźny w kierunku Warszawy.

Ewentualne zwycięstwo armii czerwonej, z czym się poważnie liczone w Niemczech, tak samo jak i w Pradze, zaczynało wywoływać obawy, że armia czerwona nie zatrzyma się bynajmniej na granicy polsko-niemieckiej, lecz będzie kontynuowała swój marsz na zachód, niosąc na swoich bagnietach sztandar rewolucji komunistycznej.. W rzeczywistości, obawy te bynajmniej nie były przesadzone, gdyż w istocie (dla Lenina, kampania w Polsce co do wyników, której nie miał on wątpliwości, była jedynie etapem dla zrealizowania jego marzeń — wywołania rewolucji komunistycznej w Niemczech...

Dla zapobieżenia temu niebezpieczeństwu, gen. von Seekt, ówczesny dowódca Reichswehry (notabene, zażarty wróg Polski) wysunął propozycję zawarcia przymierza wojskowego ze Związkiem Sowieckim, które mogłoby — jego zdaniem — uchronić Niemcy przed rewolucją,

ROSYJSKO-NIEMIECKICH

a zarazem zapewnić Niemcom poparcie Sowietów w ich walce z Zachodem. Ówczesny minister spraw zagranicznych, Simons, wystosował list do Cziczeryna z propozycją wysłania niemieckiej misji łącznikowej do sztabu Tuchaczewskiego, prosząc zarazem o gwarancję, że armia czerwona nie przekroczy granicy niemieckiej. Cziczerin odmówił dania tego rodzaju gwarancji, ograniczając się do zapewnienia, że Niemcom nic nie grozi ze strony armii czerwonej. Zwycięstwo polskie przekreśliło knowania niemieckie, zwłaszcza plany von Seekta przymierza wojskowego ze Sowietami, które byłoby, oczywiście, zgubne dla Polski. Seekt w wysiłkach do zrealizowania swoich planów — bez wiedzy nawet swojego rządu — nie cofał się przed użyciem różnych pośredników, typu awanturniczego, jak np. Enver-Paszcy i innych. Zabiegi te doprowadziły w parę lat później do ścisłej współpracy niemiecko-sowieckiej na odcinku wojskowym, jak również przygotowały teren do Paktu w Rapallo.

Dla Lenina, po jego dojściu do władzy, przymierze z Niemcami, pod warunkiem, oczywiście, że istniałby tam reżim komunistyczny, było jedynym sposobem powstrzymania interwencji Zachodu w Rosji. Lloyd George, podczas konferencji w Wersalu, zwracał uwagę wielkich mocarstw na tego rodzaju niebezpieczeństwo. Rozumieli je dwaj wielcy Francuzi, Clemenceau i marszałek Foch, którzy wysunęli ideę „cordon sanitaire“, składającego się z Polski i Czechosłowacji, oddzielającego Niemcy od Rosji.

Rozmiary współpracy niemiecko-sowieckiej ujawniły się w pełni podczas konferencji w Genewie, w kwietniu 1922 roku, której celem było unormalizowanie stosunków Zachodu z Rosją Sowiecką. Na Zachodzie sądzono, że ze względu na chaos gospodarczy, głód, itd., Sowiety zgodzą się na współpracę, uznając przy tej okazji traktat wersalski.

Spodziewano się przy tej okazji

także, iż da się poróżnić Sowiety z Niemcami; Lloyd George w sposób demonstracyjny odbywał rozmowy z Cziczerynem, sam na sam, co nie uchodziło uwagi zaniepokojonego ministra spraw zagranicznych Rzeszy, Rathenaua, który był obecnym w Genewie. Cziczerin, wykorzystując zaniepokojenie Rathenaua zażądał od niego korzystnych warunków i ustępstw przed podpisaniem umowy znanej jako układ w Rapallo, który wprawił w osłupienie cały świat.

W zamian za swoje ustępstwa Niemcy uzyskały w Sowietach sprzymierzeńca w zwalczaniu traktatu wersalskiego, przez co miały nadzieję na rewizję swoich granic na wschodzie.

Układ w Rapallo utorował drogę do daleko idącej współpracy wojskowej niemiecko-sowieckiej. Już w lipcu tegoż roku zawarta została tajna umowa, podpisana przez von Seekta i wysłannika sowieckiego, pod nazwiskiem Rozenblatt, w myśl której przemysł niemiecki uzyskał możliwość wyrabiania na terenie Związku Sowieckiego broni, których Niemcom zakazano traktatem wersalskim, jak czołgów, samolotów, gazów trujących itd. Następnie, w myśl tego układu, oficerowie niemieccy mieli działać jako instruktorzy i wykładowcy w Rosji, a wyżsi oficerowie sowieccy mieli brać udział w manewrach niemieckich. W konsekwencji, grupa generałów sowieckich, z Tuchaczewskim na czele, spędziła kilka tygodni w Niemczech, biorąc udział w różnych ćwiczeniach.

Współpraca polityczna niemiecko-sowiecka trwała nadal, ujawniając się ponownie w okresie podpisywania słynnego Paktu w Locarno, w 1925 roku, który był tak niekorzystny dla Polski. Na 4 dni przed podpisaniem tego układu (Sowiety nie brały w nim udziału). Niemcy podpisały z Sowietami umowę natury handlowej, określoną przez prasę sowiecką jako „antylocarneńska“.

W tym samym roku, Stressemann, jako minister spraw zagranicznych

Republiki Wejmarskiej podpisał z Sowietami w Berlinie nowy układ, który zapewniał Sowietom poparcie Niemiec na arenie międzynarodowej, gdzie Stressemann zdołał uzyskać, przy pomocy naiwnego Brianda, wielkie wpływy — w taki sposób, jak w wiele lat później, dr Adenauer przy pomocy Dullesa, uzyskał niemal decydujący wpływ na kształtowanie się polityki zagranicznej Zachodu

Mimo, że Hitler, jeszcze od ogłoszenia swojej słynnej książki „Mein Kampf“, był zawsze wrogiem Związku Sowieckiego, to jednak stanowisko jego ulegało pewnej ewolucji.

Warto przypomnieć, że jeszcze w roku 1925, młody Goebbels, ogłosił w organie partii hitlerowskiej „Voelkscher Beobachter“ artykuł, w którym wyraził pogląd, iż „... być może przeznaczenie połączy nas dla wspólnego celu... być może...“ Słowa Goebbelsa sprawdziły się w 14 lat później. Sam Hitler, jak to opisuje Rauschning, w swojej książce, miał wyrazić się w rozmowie z nim w roku 1934, że „nie wyklucza przymierza ze Związkiem Sowieckim, z tym, że wycofałby się z niego z chwilą uzyskania wolnej ręki na Zachodzie, mając w ten sposób swobodę zaatakowania Rosji...“

Prowadzi to nas do znanego paktu Ribentrop-Mołotow, o którym napisano już tyle, że zachodzi niebezpieczeństwo powtarzania się. Był to punkt kulminacyjny w historii paktów pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim; już przy jego podpisywaniu, obie strony planowały złamanie go w dogodnej dla siebie sytuacji.

Historia często powtarza się, aczkolwiek w zmienionych warunkach; powstać może pytanie, kiedy i jakich okolicznościach dojdzie do zerwania niedawno podpisanego układu niemiecko-sowieckiego w Moskwie.

SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYP PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. 01-228 0879

REFLEKSJE NA

Zanim zabierzemy się do oceny światła i cieni demokracji, zdefiniujmy samo pojęcie: wiemy dobrze, że systemy i ustroje, które często pyszną się mianem demokratycznych, pozostają z daleka od najbardziej surowego pojęcia demokracji. Sztydły tych ustrojów są zatem typową zasłoną dymną, albo jak kto woli — komplementem od dawany przez grzech — enocie. Trzeba przeniknąć poza te zasłony dymne i poddać analizie samo słowo, oraz przejawy ustrojów, które w sobie zamyka.

Musimy sobie zdać sprawę, że samo określenie „demokracja“ wymyka się zbyt łatwo analizie. Demokracja oznacza rządy ludu, a tym ludem może być nie tylko oświeconą większość danego kraju, ale i zwykły tłum, albowiem słowo „demos“ oznacza po grecku tłum. W Grecji starożytnej polityka oznaczała działalność miasta, czyli „Polis“. Grecja swoją politykę opierała na elemencie, który dzisiaj jest dla nas odpychający; na niewolnictwie. Była w swych najdoskonalszych przejawach akcją jednego miasta, owego właśnie „Polis“ — pracą, opartą na niewolnikach i niewolniczym trudzie. Ten wzór nie jest przeto do zastosowania w naszej erze.

Nawet Platon, którego nikt nie może posądzać o instykt satrapy, zdefiniował w swym dziele „Republika“ zalety państwa, które żywcem wzięte są z ówczesnej Sparty, a Sparta była państwem militarnym, jednym wielkim obozowiskiem wojskowym. Nie możemy zatem wzorów greckich brać za miernik pojęcia demokracji, które na dobre wykształciło się dopiero w XIX wieku. Wtedy dopiero dojrzał kształt nowoczesnej demokracji jako ustroju, który dawałby szanse wszystkim obywatelom i stwarzał warunki maksymalnego szczęścia dla maksymalnej ilości ludzi.

Pojęcie nowoczesnej demokracji kształtowało się po popełnieniu licznych omyłek i niesprawiedliwości. Jeszcze i dzisiaj żongluje się imieniem demokracji w krajach Wschodniej Europy w celu otumanienia mas. Przypominam sobie rozmowę prowadzoną w Berlinie Zachodnim przed kilku laty z jednym z Pola-

ków, który przedostał się na Zachód. Rozprowiał on szeroko o zaletach demokracji ludowej, od której wszakże uciekł i starał mi się wytłumaczyć, że w Europie Wschodniej panuje odmienna forma demokracji — forma demokracji postępowej. Odpowiedziałem mu ze swej strony, że słowa „postępowy“ używa się również dla określenia pewnej formy paraliżu.

Musimy więc podchodzić do pojęcia demokracji i bardzo ostrożnie, gdyż całe pole dyskusji usiane jest podstępem i fałszem.

Wiek nasz przesiąknięty jest wpływami propagandy, forsowanej przez państwa totalne w miejsce uczciwej prawdy. Systemy totalne wymyślają same sztydły i hasła, na których lepić łatwo jest schwytać nieświadomionego obywatela. I tak na przykład propaganda sowiecka operuje od lat pojęciem „faszysty“ i „faszyzmu“, które nie mają pokrycia w codziennej rzeczywistości. Faszysta i faszyzm — to określenia systemu Mussoliniego, który był zresztą najbardziej jeszcze oświeconym z przywódców totalnych. Jego ustrój unikał pojęcia demokracji i dawał do zrozumienia, że jest po prostu tylko dyktaturą, w duchu tradycyjnych rządów rzymskich Cezarów. Przez puszczanie w obieg monety „faszysty“ i „faszyzmu“ propaganda sowiecka odwracała uwagę od słowa „totalizm“ — do którego przynależały wszystkie trzy ustroje dyktatur XX wieku: hitlerowski, rosyjski i włoski.

I nawet dzisiaj poważni historycy i komentatorzy polityczni używają definicji „faszysty“ i „faszyzmu“ w odniesieniu do systemów, które są pospolitą satrapią i tyranją.

Zacznijmy może od stwierdzenia, że demokracja jest tworem niedoskonałym i szczerze się do tego przyznaje, w przeciwieństwie do tak zwanych „doskonałych ustrojów“, które głoszą o sobie, że są ludzkie. W sumie jednak systemy doktrynerskie cechuje nieludzkość i obojętność na dół człowieka. Systemy niedoskonałe są właśnie najbardziej ludzki-

mi, podczas gdy ustroje chlubiące się całkowitą doskonałością są przeważnie nieludzkie w nałamywaniu obywatela do doktryny, która wygląda idealnie na papierze, ale napawa grozą, gdy jej przepisy wprowadzone są w życie. System demokratyczny zdaje sobie sprawę z tego, iż dzieło człowieka musi być kruche i niedoskonałe. Femiński powiadają na przykład, że Szwajcaria nie jest krajem demokratycznym, albowiem kobiety nie mają tam głosu w wyborach i plebiscytach. Czy z tej przyczyny mamy odmówić Szwajcarii cnoty prawdziwej demokracji? Oczywiście, że nie — natomiast na miano tyranii zasługują państwa Europy Wschodniej, które raz po raz urządzają marionetkowe wybory z udziałem kobiet.

Demokracja jest tworem długiego i przemyślanego wyboru, kształtowana przez doświadczenia lat i milionów ludzi. Pomimo tego jednakże, na miano demokracji zasługują bardzo nieliczne ustroje — gdyby podjąć rzetelną analizę tych ustrojów.

Jak na przykład określić i zaszelegować niedawne jeszcze rządy prezydenckie we Francji — czy mieliśmy tam do czynienia z typową dyktaturą wojskową, czy też raczej z rządami personalnymi jednej wybitnej jednostki? Nie zapominajmy, że państwa Europy Wschodniej, które tak chętnie popisują się słowem „demokracja“ i które wywindowały nawet to miano na szczyt swoich sztandarów, nie mają nic wspólnego z demokracją uczciwie pojętą. Uderza przy tym fakt, że sam Związek Sowiecki nie wywiesił na swoim sztandarze słowa „demokracja“ lub przymiotnika „demokratyczny“. Zastrzegł on używanie tych słów dla państw satelickich, jakby mówiąc z okrutną ironią: „Chcecie mieć demokrację, no to dobrze, towarzysze, zachowajcie swoje szumne pojęcia o demokracji, jeśli wam to sprawia przyjemność“. Rosja urządza od czasu do czasu plebiscyty, a i państwa satelickie szczytują się „wolnymi wyborami“. Żaden jednak uczci-

TEMAT DEMOKRACJI¹⁾

wy badacz tych spraw nie może nawet posądzić tych wyborów o cechy demokratyczne.

Z tych kilku zdań wstępnych wynika jasno, że trzeba badać problem demokracji z wielką ostrożnością, aby nie wpaść w wilcze doły tej czy innej propagandy.

* * *

Mówiąc o demokracji ośmieliłem się postawić tezę, że niewiele krajów świata mogłoby przejść surową próbę, która kwalifikowałaby je do grona państw demokratycznych. Wyraziłem sąd, że demokracja jako poważne zjawisko jest stosunkowo młodym tworem. Jest ona tworem ciągle żywym, albowiem walka o wolność wewnętrzną i zewnętrzną nigdy się nie kończy i każde pokolenie musi przemyśleć sens swego życia i wyrobić sobie stosunek do porządku społecznego danego kraju.

Historycznie biorąc, demokracja jest świeżym zjawiskiem, gdyż na terenie Europy i Ameryki pojawiła się dopiero w XIX wieku. Wiek XIX stał się olbrzymim warsztatem demokracji, natchnionej głównie przez Rewolucję Francuską, która historycznie biorąc — skończyła się wysuwaniem na forum tak zwanego Trzeciego Stanu, czyli warstwy mieszczańskiej. Do początków XIX wieku panowały na świecie dynastie, arystokracja i kościół, a przeblyski myśli demokratycznej ograniczały się do literatury, która dała podstawowe przemyślenia nad losem demokracji. Marzenia polityczne, poczucie misji, utopia — oto przejawy tego niepokoju demokratycznego, który do wieku XIX był stosunkowo słaby i całkowicie niezorganizowany. Księgi, które wytyczyły demokracji jej drogę, ograniczają się do kilku wielkich pozycji. Pierwszą historycznie jest księga św. Augustyna o Państwie Bożym, czyli De Civitate Dei. Potem dopiero zabrali się do przemyślenia problemów demokracji filozofie oświeczonej Francji z Rousseau i Wolterem na czele. Na uboczu nieco stoi dzieło Anglika

Tomasza Moore'a w postaci „Utopii“, która wprowadza wizję przyszłości w ujęciu umysłu laickiego, gdyż praca św. Augustyna stanowiła spojrzenie teologiczne na dzieje ludzkie. Życie „Utopii“ pozostało żywe przez wieki, albowiem w wieku XIX i XX wstępują w szranki pisarzy tacy, jak William Morris i Samuel Butler i, oczywiście, H. G. Wells. Jest rzeczą znamioną, że te poszukiwania za idealnym państwem ujęte są zwykle w ramy sennego marzenia, które niewiele ma kontaktów z twardą rzeczywistością. Czyżby to było ostrzeżenie, rzucone przez umysły o mesjanicznym zakroju pod adresem świata, że w obecnym swoim stanie ludzkość nie może dojść do sprowadzenia na ziemię już nie tylko utopii i bajki, ale uczciwego i szlachetnego państwa, dającego szanse rozwoju milionom swych obywateli, którzy po prostu nie czuliby nacisku i przemocy państwa.

Demokracja zatem jest tworem schyłku wieku zeszłego.

Jej rozkwit przyszedł szybko, ale ciosy niemal śmiertelne zadały demokracji dwie wojny światowe. Nie ulega kwestii, że Europa przed rokiem 1914 była krajem otwartym, chociażby przez ten drobny fakt, że można ją było przejechać z krańca w kraniec bez posiadania paszportu i że tylko Rosja i Turcja żądały wiz wjazdowych. Oczywiście, była to Europa rządzona przez to, co nazwał publicysta angielski Fairly mianem „establishmentu“. „Establishment“ to klika ludzi, którzy poza kulisami polityki oficjalnej swego kraju, uprawiają swoją własną grę, przeważnie niezgodną z interesem państwa.

Rok 1914 stanowił kres wieku XIX i odtąd wchodzimy w dziedzinę coraz to niebezpieczniejszych eksperymentów politycznych, oraz powołań w wielu krajach rządów tyranii. Wojna typu 1914-go była novum w dziejach świata, albowiem wprężyła do wysiłku wojennego miliony ludzi, a linie okopów przeorały Europę na wschodzie i na zachodzie.

Po raz pierwszy w dziejach Europy starły się niemal wszystkie kraje tego kontynentu, a państwo nabrało cech cezaryzmu. Znakomity mąż stanu Rzeszy wilhelmińskiej — Walter Rathenau, powiedział w pewnym momencie pierwszej wojny światowej, że ten kto opanuje wypiek chleba — opanuje władzę. Ten prorok rzeczy, które nadeszły, by użyć parafrazy Wellsa — zamordowany został przez bojówki prawicowe, te same, które uśmierciły Różę Luksemburg, jeden z najlepszych umysłów, jakimi może poszczycić się komunizm — do pewnego punktu, albowiem Róża Luksemburg wyraziła ponure przeczucia w stosunku do Rosji. W swoim memorandum, czy też raczej apelu do Lenina, komunistka niemiecka ostrzegła go, że przygotowuje tyranie dla własnego kraju. Było jednak już za późno, by wycofać obietnice dane przez Lenina w jego planach i założeniach co do przyszłego ustroju Rosji.

Druga wojna światowa jeszcze bardziej zdeprecjonowała demokrację i pojęcia z nią związane. Mobilizacja sił była stokrotnie większa od mobilizacji z roku 1914-go. W tej wojnie totalnej demokracja została po prostu zawieszona w swoim funkcjonowaniu; a nawet jeżeli od roku 1945-go prowadziło się akcję odkopania demokracji spod gruzów, to i tak nie powrócono do form sprzed pierwszej wojny światowej, którą położyła kres nie tylko pewnym walorom moralnym, lecz także i politycznym.

To, że pomimo wszelkich przeciwności, demokracja w Europie zdołała się jakoś zadomowić i schronić pod jej przeciekający dach — jest dowodem, iż jak to powiedział Roosevelt do angielskiego socjologa prof. Lasky'ego: nie doceniamy hartu i siły oporu, którą stawia wolność“.

Najidealniejszy obraz państwa demokratycznego dał chyba Lincoln w swojej maksymie, że rządy winny być sprawowane przez lud dla ludu. Jego idealizm nie zawsze znajduje pokrycie w rzeczywistości historycznej. Ale nawet jeżeli maksyma Lincolna jest „nie z tego świata“, jakby

(Ciąg dalszy na str. 8)

mógł powiedzieć jakiś współczesny trefniś, to jednak stanowi ideał, do którego ludzkość wytrwale zmierza. Wolność i swoboda stanowią najbardziej dosadne urzeczywistnienie dążeń człowieka. Dzisiejszy świat nie rozpada się w gruncie rzeczy na grupy odmienne ideologią polityczną, ale raczej ogląda walkę wolności z niewolą. Pamiętny wszystkim polityk angielski Bevin wypowiedział swoje życzenie pod adresem państwa we wzruszająco prostych słowach: „Dla mnie wolność, to pójdzie na stację Victoria w Londynie, kupienie sobie biletu, gdzie się chce i pojechanie w nieznaną“.

* * *

Demokracja jest więc systemem niedoskonałym, jak wszystko, co rodzi się z umysłu ludzkiego. Wynika to z tego, że sam człowiek jest niedoskonały, a utopie polityczne i społeczne rodzą się w świecie marzeń na temat przyszłości, albo iluzji na temat przyszłości. Znakomity uczonec Mircea Eliade, rumuński profesor wykładający na katedrze religii porównawczych w Chicago, słusznie uważa, że i w człowieku i w gromadzie ludzkiej istnieje jakieś wspomnienie epoki, kiedy człowiekiem było naprawdę dobrze na ziemi. Ten sen o ille tempore prześladuje ludzkość w jej poszukiwaniach idealnego systemu rządzenia. Arystoteles skodyfikował swoje zasady w utopijnych marzeniach, albo stawiał za wzór Spartę, system surowych rządów, który dziś nazwalibyśmy rządem totalinarnym.

Zasady demokracji były często ujmowane w szumne hasła, do których należy między innymi, wielkie zawołanie Rewolucji Francuskiej: „Wolność, równość, braterstwo“. Wiemy dzisiaj dobrze, że zasady te nie mogą być w pełni wcielone w życie, gdyż wolność nie może być absolutna, a równość grozi samej podstawie demokracji. Nie ma równości ani w świecie zwierzęcym, ani między ludźmi, ponieważ ludzie mają różne talenty i odmienną wagę jakościową. Ludzkie gromady, szczepy, czy narody hierarchizują się bardzo szybko i zdolniejsi wysuwają się na front. Demokracja nie może dać równości, która nie istnieje nawet w obozie koncentracyjnym —

albowiem i tam również istnieje podział na zwykłych i uprzywilejowanych więźniów. To co demokracja obiecuje i dać może — to równość startu życiowego, czyli dostępność wszystkich obywateli do wszelkich godności i szczebli.

Lord Acton, wielki filozof polityczny Anglii, wygłosił znaną tezę, że „władza deprawuje, a absolutna władza deprawuje absolutnie“. To co demokracja może uzyskać, to system tak zwanych po angielsku „checks and counter-checks“ czyli hamulców i kontr-hamulców, które sprawiają, że obywatel ma zagwarantowaną swobodę. Bernard Shaw wypowiedział kiedyś pamiętny paradoks, że „wolność to odpowiedzialność i dlatego tylu ludzi się jej obawia“. W tym paradoksie mieści się coś więcej niż szczypta prawdy. Wypisaliśmy ujął odpowiedzialność człowieka za rządy na ziemi w kapitalnym skrócie: „Idziesz przez świat i dajesz temu światu kształt przez swoje czyny. Spójrz w świat, w ten świat kształt, a dojrzysz swoje winy“. Znakomity socjolog austriacki Karl Hopper w swoich studiach nad systemem rządzenia, powiedział, że badając wieki ludzkiej kultury dojdziemy do wniosku, że istniały zawsze systemy, które można by nazwać otwartymi i rządy, które tworzą z państwa jedność zamkniętą. Te wolne i zamknięte społeczeństwa nie są żadną nowością, a dzisiaj mamy do czynienia nie z walką dwóch doktryn politycznych, to znaczy totalizmu i demokracji, ale z walką rządów, uważających się za wolne, z reżymami, trzymającymi swój naród w więzieniu.

Państwa otwarte nie są żadnym ideałem, albowiem i pierwsza i druga wojna światowa dokonały licznych ograniczeń swobody ludzkiej. Do tego rzędu należy niemożność wyjazdu obywateli zagranicę w poszukiwaniu pracy, lub wypoczynku i trzeba wyrabiać sobie paszporty, zabiegać o pozwolenia i żebrać o przydział dewiz — a są to nowości nieznanie światu przed rokiem 1914. — Daleko jest jeszcze do realizacji prawdziwie otwartego świata, a wizja ta odsuwa się od nas chwilami coraz dalej. Istnieje powiedzenie angielskie, które ujmuje lapidarnie chorobę, trapiącą ludzkość. „Bóg

stworzył jeden świat, ale człowiek go podzielił“.

Po każdej wojnie pozostaje jako legat ograniczenie swobód obywatelskich. Jest to pozostałość po stanie wojennym, która, niestety, musi być tolerowana. Przyczyną jest to, że w okresie wojny państwo musi być stróżem swych obywateli w godzinie śmiertelnego niebezpieczeństwa. Odnosi się to, oczywiście, tylko do wojen totalnych, jak pierwsza i druga wojna światowa, ale nie dotyczy dawnych konfliktów, które przechodziły niejako obok społeczeństw i narodów. Jeszcze za czasów napoleońskich wojna szła jak gdyby otwartym gościńcem, podczas gdy wieś żyła względnie spokojnie i nawet często nie oglądała wojsk.

Krytycy naszych ustrojów, jak już wspomniany Walter Rathenau, doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że pierwsza wojna nie przejdzie bezkarnie wielkimi i małymi szlakami. Ostrzegali oni przed przemocą państwa, która nasilać się będzie coraz bardziej, w miarę, jak państwo ingeruje w życie prywatne obywatela. Często nie rozumiano na Zachodzie, że zjawiska zwane faszyzmem, komunizmem i hitleryzmem, pragnęły zawiązać wszystkimi uczuciami człowieka i to nie tylko jego życiem codziennym, ale nawet jego marzeniami i snami. Głośny ongiś krzykacz hitlerowski dr Ley zawołał na jednym z wieców hitlerowskich w Berlinie, że nawet sny obywateli Trzeciej Rzeszy, która potrwa tysiąc lat — należą do Führera. Trudno pójść dalej w zaborczości systemu, który chce stać się religią. Państwa takie, jak Francja i Anglia, podobnie jak Stany Zjednoczone, nie rozumiały prostego faktu, że hitleryzm czy stalinizm to nie teoria polityczna, ale fanatyzm, przyrównywalny jedynie do walczącego muzułmanizmu, który dysponował własnymi janczarami, tak jak Rosja dysponuje do dzisiaj komсомоłcami, a hitlerowska Rzesza swymi zastępami Hitlerjugend.

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACANA
PRENUMERATA

DYPLOMATA I PISARZ

Hrabia Edward RACZYŃSKI jest nie tylko polskim arystokratą z prawdziwego zdarzenia, ale także Europejczykiem o wielkiej kulturze i urzekającym uroku osobistym. Przez ćwierć wieku był w służbie dyplomatycznej na najwyższych szczeblach. Edward Raczyński to potomek hetmanów i kanclerzy, skoligacony z największymi rodami Polski i Europy, tej Europy od Petersburga do Londynu, bardziej pod niektórymi względami europejskiej niż dzisiejsza, i jakże od niej różnej. Krasieńcy, Potoccy, Branicey, Tysskiewiczowie to jego najbliższa rodzina, niektórzy wielcy duchem, niektórzy wielcy majątkiem, wodzowie, żołnierze, społecznicy, filantropi, czasem nawet awanturnicy. O ich kobiety, wykształcone i kosmopolityczne, często wielkiej urody, ubiegały się koronowane głowy Francji, Szwecji czy carskiej Rosji. We własnych dworach, czy na dobrowolnym lub przymusowym wygnaniu, wszędzie czuli się w domu, pewni siebie i rodowych solidarności, które im otwierały wszystkie drzwi. Doktor praw Uniwersytetu Jagiellońskiego Edward Raczyński włada doskonale pięcioma językami, jest Komandorem Orderu z Gwiazdą Polonia Restituta i Wielkiej Wstęgi Orderu Korony Rumuńskiej. Angielskie „Who is Who“ uzupełnia dane dotyczące jego osoby zaznaczając, że jest on członkiem klubu St. James, gra w tenisa i w golfa, uprawia narciarstwo i łyżwiarstwo. Opublikował też kilka książek.

Skrętnie notując słowa padające z ust eleganckiego i b. przystojnego starszego pana o bezpośrednim podejściu, bujałam jednocześnie w obłokach najdziwniejszej przeszłości, znanej mi tylko z bardzo daleka i powierzchownie z literatury czy z historii. Fantazja przenosiła mnie do wspaniałych pałaców zaludnionych damami w krynolinach i panami w kontuszach czy w kolorowych frakach, do gabinetów wodzów, gdzie wśród drogocennych rzeźb i malowideł dyskutowano — stanowiono o

moich losach, o twoich losach; bezlitosne prawa historii miękły i rozwadniały się przechodząc wysokie progi, w ostatecznym rachunku nie oszczędziły i ich także.

Edward Raczyński urodził się w roku 1891 w Zakopanem, gdzie jego matka, pani Róża z Potockich, kobieta niezwykle szlachetności i charakteru, przebywała przez kilkanaście lat, ze względu na słabe zdrowie swoich dzieci z pierwszego małżeństwa z synem wieszczą, Zygmunta Krasieńskiego. Jego dziadek Roger Raczyński, uciekł zagranicę z rodzinnego Rogalina, gdyż był zaangażowany w powstaniu styczniowym, po czym dłuższy czas przebywał na emigracji. Ojciec Edward szukając przygód i samodzielności jako żuaw w wojsku Papieża, jako niedoszły fabrykant jedwabiu w Indochinach, poszukiwacz złota w niedostępnych Andach, czy „kozak“ Czajkowskiego w Turcji, zdobywał serca, ale nadwyrężył majątek. Niezwykle ciekawe dzieje swoich ukochanych rodziców na tle romantycznej epoki opisał syn Edward w książce „Pani Róża“, w której talenty narracyjne i zrozumiałe emocje nie przekraczają nigdy ram logicznego obiektywizmu.

Równie ciekawie i obrazowo opisał ambasador Raczyński dom swego dzieciństwa, pałac w Rogalinie, do którego ze szkoły w Krakowie przyjeżdżał na wakacje. „Proszę spojrzeć, to cudowne dęby rogalińskie, a to klatka schodowa, i obraz...“ — wpatruje się Edward Raczyński w zdjęcia w pięknie wydanej książce „Rogalin i jego mieszkańcy“. W latach między otrzymaniem matury a doktoratem praw Uniwersytetu w Krakowie studiował Edward Raczyński rok w Lipsku i rok w Londynie, w London School of Economics. Podczas 1-szej wojny światowej nie był w wojsku, ze względu na b. słaby wzrok, pracował natomiast w austriackiej służbie dyplomatycznej. W roku 1918, jako ochotnik w Szkole Podchorążych, „miał przyjemność rozbierać

Niemców w Warszawie“. „Pochodziłem z rodziny osiedlonej od wieków w Poznańskim i z tego względu pewno byłem nastawiony antyniemiecko i antyaustriacko. Nie mogłem zrozumieć aliansu Piłsudskiego z Austriakami. Dzisiaj jednak patrzę inaczej na te sprawy“.

W październiku 1918 roku objął stanowisko sekretarza Poselstwa R.P. w Kopenhadze, a po 4 latach został przeniesiony do Londynu, gdzie ożenił się z Angielką ze znanej rodziny przemysłowców i polityków, p. Joyce Markham. Następnie jego stanowisko było w Warszawie, w ministerstwie spraw zagranicznych. Joyce opanowała język polski, i mimo słabego zdrowia pracowała dużo społecznie. Nieomal w przededniu śmierci, gdy była w ciąży, własnoręcznie rozdzieliła podarki gwiazdkowe kilku tysiącom dzieci.

Dyplomatyczne peregrynacje zaprowadziły Edwarda Raczyńskiego w 1939 roku do Genewy. „Akredytowany przy Lidze Narodów, byłem delegatem Polski na Konferencji Rozbrojeniowej i broniłem polskich spraw. Gdy objąłem to stanowisko, myślałem, że otwiera się nowy świat, że Liga Narodów będzie źródłem natchnienia. Początkowo byłem jednak bardzo rozczerowany, gdyż przekonałem się, że ludzie są zawsze i wszędzie tylko ludźmi, że i w tej międzynarodowej organizacji siła przeważa nad sprawiedliwością, istnieją intrygi i brudy. Po pewnym czasie zacząłem jednak bardziej cenić Ligę Narodów, a obecnie, gdy porównuję ją z Organizacją Narodów Zjednoczonych widzę, że miała wiele dodatknych cech. Mając mniej członków, była od ONZ sprawniejsza i bardziej poważna, miała też bardzo kompetentny i sumienny sekretariat, a decyzje jej miały większy ciężar gatunkowy. Rada Ligi Narodów załatwiała lepiej niż ONZ mniejsze konflikty, jak np. spór między Jugosławią a Bułgarią, czy wymiana ludności między Turcją a Grecją. Także działalność licznych agencji Ligi w zakresie szkolnictwa,

higieny itp. rozwijała się doskonale“.

„W Lidze Narodów poznałem wiele wybitnych osobistości, jak krasomówca Arystydes Briand, hrabia Apponyi, Benesz i inni. Uczestniczyłem we wielu pertraktacjach dotyczących Polski“.

Wspominając układ polsko-niemiecki z roku 1934 Raczyński zauważa: „Do traktatu tego zmusiła Polskę słabość Zachodu i jego ustępliwość, gdy w obliczu ciągłych niemieckich prowokacji, w Gdańsku, w sprawach mniejszości i innych, Polska badała możliwości wojny prewencyjnej z Niemcami i w tym celu szukała pomocy Zachodu, której jej odmówiono. Wobec tego stanu rzeczy, aby zapobiec nierównej wojnie, zawarła ten układ. Największą słabością Ligi Narodów był fakt, że po śmierci prezydenta Wilsona, jej twórcy, Ameryka odizolowała się i nie przystąpiła do Ligi. W okresie Monachium Liga, z której już przedtem wystąpili Niemcy i Japonia, i z której po napaści na Finlandię wykluczono Rosję, była zupełnie bezsilna“.

Czy praca w służbie dyplomatycznej stanowiła jedyne źródło dochodów pana hrabiego?, pytam niedelikatnie. Ambasador uśmiecha się. „Pracę traktowałem zawsze jako obowiązek społeczny. Moja matka, która dożyła 88 lat w pełni władz umysłowych, do końca życia czynna społecznie i nawet politycznie, wychowywała dzieci po spartańsku, wpajając w nas od najmłodszych lat, że obowiązkiem naszym jest pracować pro publico bono. Nie, nie musiałem pracować na utrzymanie. Byłem właścicielem majątku Zawada w Małopolsce. Brat mój Roger odziedziczył po rodzicach pałac w Rogalinie ze wspianą galerią obrazów mistrzów francuskich i innych, których mój ojciec był namiętnym kolekcjonerem i które chciał ofiarować narodowi tak, jak to niegdyś uczynił z książkami jego dziadek (Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu). Po przyrodnim bracie, Adamie Krasieńskim, odziedziczyłem bardzo cenne obiekty w Warszawie, osiem domów przy ul. Traugutta i historyczny pałac na Krakowskim Przedmieściu Nr. 5, w którym ongiś gen.

Wincenty Krasieński urządzał „obiady czwartkowe“, przyjmując najwybitniejsze osobistości ze świata polityki, nauki i sztuki, „wprowadzając“ zdolnych pisarzy, artystów i muzyków. Oczywiście, wszystko to straciłem. Rogalin został wyszabrowany i splądrowany, obecnie mieści się tam Oddział Wielkopolskiego Muzeum. Pałac na Krakowskim Przedmieściu spalił się podczas oblężenia Warszawy w r. 1939, obecnie został odrestaurowany z tym, że odtworzono fasadę tak jak była na początku XVIII wieku, ale wnętrze uległo wielkim zmianom, nie mogli bowiem zastąpić oryginalnych materiałów, stiuków, złocień i innych wspaniałości. Mieści się w nim teraz Akademia Sztuk Plastycznych. W pałacu tym o rozległych salonach i wielu pokojach mieszkalnych, zatrzymywałem się podczas moich pobytów w Warszawie. Gdy wyjeżdżałem na dłuższy czas, wynajmowałem go, początkowo ministrom spraw zagranicznych R.P., a ostatnie lata do wojny — amerykańskiemu ambasadorowi. Zawsze jednak miałem tam zarezerwowany apartament dla siebie“.

W roku 1934 został Edward Raczyński ambasadorem przy Dworze św. Jakuba i zamieszkał na Portland Place, w pięknym budynku należącym do polskiego rządu. Siedzibę tę oddał Anglikom w r. 1945, gdy cofnięto uznanie rządowi polskiemu w Londynie, po czym kupił domek na Golders Green, który sprzedał przed kilku laty, aby przenieść się do czteropokojowego mieszkania w pobliżu swego obecnego miejsca pracy. Rok po śmierci Joyce ambasador ożenił się po raz drugi z p. Cecylią Jaroszyńską, której matka była z domu hrabianką Sierakowską. Miał z nią trzy córki, z których jedna wyszła za mąż za Ksawerego Reja, businessmana, potomka poety Mikołaja Reya z Nagłowic (XVI w.).

Podczas II-giej wojny światowej ambasador Raczyński był kierownikiem M. S. Z. i ministrem stanu w rządzie gen. Sikorskiego, a później — Raczkiewicza. Po wojnie był jakiś czas doradcą władz angielskich do spraw polskich. W okresie tym ambasador Raczyński z rodziną znaleźli się w niełatwej sytuacji majątkowej, uzupełniając skromny budżet

sprzedażą rzeczy, jakie posiadali w Anglii. Obecnie hr. Raczyński utrzymuje się ze skromnej dożywotniej renty, jaką otrzymuje po swojej pierwszej żonie. Pracuje honorowo jako Prezes Zarządu Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego. Jest członkiem Rady Trzech, najwyższego organu koordynacyjnego polskiej emigracji politycznej.

„Spędziłem w Anglii pół życia, lubię Anglików, mam wśród nich duże „chody“, a z niektórymi utrzymuję stosunki towarzyskie. Moją racją bytu była obrona polskich interesów i praw wobec świata, i tak już zostało. Kiedyś uciekało się od ziomków zagranicą, teraz wszyscy rodacy to jedna wielka rodzina. Bardzo tęskniłem za Polską, ale w ostatnich czasach tyle się nasłuchiwałem od naocznych świadków o tym, co się dzieje w Ojczyźnie, że tęsknota zaprawiona jest goryczą. Za dużo tam teraz niesprawiedliwości. Tym niemniej uważam, że mimo tak strasznych doświadczeń i ciężkiej sytuacji, jaką narzucono Polsce po wojnie, naród trzyma się stosunkowo bardzo dzielnie, nie utracił ducha i charakteru. Wierzę, że doczeka lepszych czasów“.

„Jako pracownik państwowy nigdy nie należałem do żadnej partii politycznej i nie należę obecnie, jestem natomiast honorowym patronem Angielskiej Partii Liberalnej. Należałem do arystokracji inteligentnej, nigdy nie kierowałem się przesadami klasowymi, od bardzo dawna nie używam hrabiowskiego tytułu. Moim dobrym przyjacielem był Tadeusz Hołówek, skrajny socjalista, którego w roku 1934 zamordowali ukraińscy terroryści“.

Diariusz Edwarda Raczyńskiego „W sojusznicy Londynie“, pisany nieomal dzień po dniu od grudnia 1934 r. do sierpnia 1945 r. rzuca światło nie tylko na osobę autora, jego bezpośredniość, szczerość, obiektywizm i poczucie humoru, tryb życia i znajomości, ale jest — może przede wszystkim — bezcenną nitką Ariadny w labiryncie kulis polityki w burzliwym okresie II wojny światowej. Wielka polityka i ludzie, którzy o niej decydowali przeplatają się drobnymi faktami codziennego życia; najbardziej tajne

i nie takie tajne dokumenty, często wobec władz alianckich, w prasie i podawane są in extenso, oraz wymiana korespondencji czy osobiste spotkania z ówczesnymi panami życia, śmierci i wolności całych narodów, z Rooseveltem i Churchillem na czele, wszystko razem składa się, jak luźne cegiełki łamigłówki, na fascynujący, czasem straszny, czasem paradoksalny lub nawet komичny obraz międzynarodowej polityki i zaplecza wojny.

Oto dla przykładu Załącznik Nr. 11: „Most immediate, top secret, otrzymane o godz. 4.50 rano 10 sierpnia 1944 r. z brytyjskiego Foreign Office: „Stalin obiecał dostarczyć Warszawie wszelkiej pomocy, a specjalnie broni, która ma być zrzucona natychmiast z samolotów. Aby nawiązać kontakt, zaopatrzone w szyfr sowiecki oficer łącznikowy musi być zrzucony. Za pośrednictwem brytyjskiego ambasadora w Moskwie proszę zatelegrafować natychmiast do sowieckich władz, jaką drogą skomunikować się z Komentantem Warszawskiego garnizonu oraz podać miejsce zrzutu sowieckiego oficera łącznikowego i jak go przyjąć. Podpisane: Mikołajczyk“. Ropoczęte na podstawie złudnych obietnic krwawe walki w Warszawie toczyły się już od 10 dni.

O smutnych losach warszawskiego powstania każdy wie, ale po przeczytaniu udokumentowanej relacji Edwarda Raczyńskiego o kulisach powstania, albo innej, np. o porwaniu 16 przywódców Polski Podziemnej czy o „procesie moskiewskim“, jeszcze raz, drastycznie i jaskrawo, zdajemy sobie sprawę z kryminalnej hipokryzji Sowietów, uzmysławiamy sobie na przykładach ich doktrynę, że wszystkie drogi, łącznie z masowymi mordami ludzi i miast i kłamstwem w żywe oczy, są dobre, gdy prowadzą do celu. Bardzo polecam dzisiejszym władcom Zachodu, aby przestudiowali pamiętniki Edwarda Raczyńskiego zanim pozwolą się „uwieść“ — po raz nie wiadomo który! — przez sowieckiego wilka w owczej skórze.

Z kolei rozmowa nasza zeszyła na tematy żydowskie. „Pierwszy raz zetknąłem się z problemem żydowskim, gdy byłem w r. 1918 sekreta-

rzem poselstwa R.P. w Kopenhadze. Istniała tam wówczas Żydowska Agencja Prasowa, która nadawała tendencyjne komunikaty z Polski. W związku z tym zetknąłem się z jednym z jej pracowników, p. Szajakiem, jidyszystą i wielbicielem polskiej literatury, który nauczył mnie czytać po żydowsku. Razem z nim publikowaliśmy biuletyn z pozytywnymi wiadomościami o Polsce i posyłałmiśmy wedle rozdzielnika tej Agencji, działając po linii zbliżenia polsko-żydowskiego. Od Szajaka dowiedziałem się dużo o problemach żydowskich, a między innymi o Żabotyńskim, którego Szajak był „wyznawcą“. Żabotyńskiego poznałem osobiście kilkanaście lat później, gdy byłem ambasadorem w Londynie, był to czarujący człowiek. Z racji swego stanowiska pertraktowałem z Anglikami w sprawie polskiej i żydowskiej emigracji do różnych krajów. Prowadziłem wtedy długie rozmowy z Żabotyńskim i także z prof. Chaimem Weizmanem, Lord Samuel i Sir Robert Waley-Cohen omawiali ze mną sprawę osiedlenia Żydów w Ameryce Południowej, ich jednak zajmował przede wszystkim los Żydów z Zachodu. Niestety, w ówczesnym „klimacie“ Foreign Office, kiedy to m.in. lord Morrison nie zgodził się na sprowadzenie z hitlerowskich Niemiec 100.000 dzieci, z obawy, że mogłoby to wzniecić w Anglii antysemickie uczucia — interwencje moje nie dały żadnych wyników“.

„W listopadzie 1942 r. przyjechał z getta warszawskiego Szmul Zygielbojm, naoczny świadek niemieckich zbrodni, w zasięg których trudno jeszcze było wtedy uwierzyć. W rezultacie strasznych relacji Zygielbojma i wciąż napływających wiadomości z innych źródeł, polskich i żydowskich, zaczęliśmy od końca 1942 roku montować kampanię propagandową na tle masowej rzezi w Polsce. Wystosowałem noty protestacyjne do mocarstw anglosaskich, do Sowietów i do rządów okupowanych państw europejskich. Podpisany przez prezydenta Raczkiwicza poszedł nawet list do Papieża z prośbą o publiczne potępienie Niemiec. Polska Rada Narodowa, której członkami byli także Zygiel-

bojm i Ignacy Szwarcbart, ogłosił szereg rezolucji, protestów i apeli, w radio, ujawniając tragedię polskiego żydostwa i prosząc o natychmiastową pomoc. M.in. 17-go grudnia 1942 roku przemawiałem w tej sprawie po angielsku w BBC, a 20 grudnia wygłosiłem przemówienie ex-promptu na zebraniu protestacyjnym zorganizowanym przez Board of Jewish Deputies w Cambridge Circus“.

„Kiedy po pewnym czasie Zygielbojm stwierdził, że nic i nikt nie może przełamać obojętności Aliantów wobec losu polskich Żydów, prosił mnie, bym wystarał mu się o wizę do Portugalii, gdzie chciał pomóc Żydom w wydostaniu się z Europy. Któregoś dnia zatelefonowałem do niego, że uzyskałem wizę. Tego samego dnia popełnił samobójstwo, gdyż prawdopodobnie zdał sobie sprawę, że jego praca w Portugalii byłaby kroplą w morzu narodowej tragedii, i ludził się, że swoim samobójstwem, w dramatyczny sposób, poruszy opinię świata. Niestety...“

„W roku 1944 władze sowieckie przeprowadziły wielką akcję propagandową przeciwko Polsce, szykując Aliantów do nowego rozbioru i zaboru. Między innymi rozszerzali wiadomości, że Polska Armia jest antysemicka i prześladowuje Żydów, podczas gdy w rzeczywistości władze sowieckie wydały zarządzenie, by Żydów nie traktować jako obywateli polskich i nie przyjmować ich do polskiego wojska.

Na zakończenie pytam tego doświadczonego w sprawach międzynarodowych polityka, co sądzi o obecnych „załotach“ Rosji wobec Zachodu. „Wydaje mi się, że w istniejącej obecnie sytuacji Rosja pragnie z jednej strony zabezpieczyć się od Zachodu, aby mieć rozwiązane ręce w stosunku do Chin, a z drugiej — chce Zachód wykorzystać dla poprawienia swojej wewnętrznej sytuacji ekonomicznej, która nie jest dobra. Świadczą o tym próby pacyfikacji Środk. Wschodu, gdzie stan wojny jest dogodny dla Chin, oraz ostatni układ sowiecko-niemiecki. Wszystko to

(Dokończenie na str. 12)

Ostatnie miesiące przyniosły wyraźne oznaki zmiany kierunku w polityce Stanów Zjednoczonych. Nie wiadomo dokładnie, kto jest ich inspiratorem, gdyż w niektórych wypadkach idą one po linii nie zawsze zgodnej z zapowiedziami prezydenta Nixona i tradycjami partii republikańskiej.

Niejasne jest również, kto właściwie kieruje polityką zagraniczną Ameryki. Tytułarnie odpowiada za nią, oczywiście, sekretarz stanu William Rogers. Faktycznie, jak głosi fama, prowadzi ją Henry Kissinger, doradca prezydenta w sprawach polityki zagranicznej. Mówiono nawet, iż na tym tle powstał konflikt między sekretarzem stanu i doradcą. Początkowo wyglądało na to, że pierwszą rundę wygrał Kissinger i że prezydent słuchał więcej doradcy niż planów ministra spraw zagranicznych. Ostatnio miało nastąpić odwrócenie sytuacji i Rogers stał się głównym architektem planów politycznych Ameryki.

W prasie zauważyłem wyrażenie „genialne pociągnięcie“, użyte w odniesieniu do rozejmu żydowsko-arabskiego, którego głównym projektodawcą jest właśnie Rogers.

Sekretarz stanu, pomimo że nie posiada przygotowania dyplomatycznego i jest „homo novus“ w polityce, zdołał powoli nadać polityce amerykańskiej, swoisty i nie zawsze zgodny z przewidywaniami prezydenta kierunek. Niedawno Rogers powiedział do jednego z dziennikarzy po konferencji prasowej: „Może jestem w błędzie, ale mam nadzieję i trzymam skrzyżowane palce, że obecny obraz stosunków w świecie zaczyna poruszać się we właściwym kierunku“.

Co miał na myśli sekretarz stanu wypowiadając te słowa i co według niego jest właściwym kierunkiem? Zdaniem prasy chodzi o stopniową

WACŁAW NETTER

Ameryka cofa się z pozycji

redukcję globalnych zobowiązań Ameryki w świecie, zmniejszenie roli Stanów Zjednoczonych i czynnego zaangażowania w polityce międzynarodowej czyli o tak zwane „disengagement“.

POŁUDNIOWO-WSCHODNIA AZJA

Prezydent Nixon wprowadza powoli w życie zapowiedziany jeszcze przed wyborami proces „wietnamizacji“ to jest przekazywanie większej odpowiedzialności za swe losy rządowi tego kraju. Wycofuje się oddziały amerykańskie, a ich miejsce zajmują wojska wietnamskie, szkolone i uzbrajane przez Stany Zjednoczone.

W Kambodży nie ma już żołnierzy amerykańskich, a Ameryka udziela jedynie pomocy finansowej, uzbrojenia i wsparcia lotniczego. Rogers doradza, by zmniejszyć także ilość wojsk amerykańskich stacjonowanych w Korei Północnej i Tajlandzie (Syjamie), oraz zwrócić Japonii okupowaną po wojnie wyspę Okinawa. Plany te wywołały wielkie zaniepokojenie rządów państw tego rejonu. Nixon poczuł się zmuszony wysłać swego zastępcę, Agnew, do stolic tych krajów, by wytłumaczyć zamiary Waszyngtonu i zapewnić, iż „desingagement“ nie oznacza pozostawienia państw tego obszaru wyłącznie własnemu losowi.

BLISKI WSCHÓD

Największy „sukces“ zdaniem prasy odniosła polityka Rogersa na Bliskim Wschodzie. Jego plan zawieszenia broni i rozpoczęcia rozmów pokojowych jak dotąd udał

się. Działania wojenne między Egiptem i Izraelem ustały. Jest to jednak rozejm kruchy i w każdej chwili grozi zerwaniem. Gdyby nawet doszło do jakiegoś uspokojenia w rejonie Suez, to nie będzie ono zaliczone na konto Stanów Zjednoczonych. Warunkiem pokoju jest wycofanie wojsk żydowskich ze wszystkich ziem okupowanych w ciągu 6-dniowej wojny.

Gdyby Izrael zgodził się na to, będzie to rozumiane przez Arabów jako zasługa Rosji Sowieckiej. O ile Żydzi nie opuszczą wszystkich terytoriów, wina spadnie na Amerykę. Jedynym „sukcesem“ jakim może poszczycić się Rogers jest to, iż chociaż nie udało się, jak dotąd, pojednać Żydów z Arabami, to jednak udało się skłócić świat arabski.

Jakikolwiek obrót przyjmą rozmowy pokojowe i jakikolwiek będzie ich wynik, Rosja Sowiecka pozostanie na Bliskim Wschodzie i grać będzie decydującą rolę na tym obszarze, włącznie z pośrednią kontrolą kanału Sueskiego, w wypadku gdy zostanie uruchomiony.

SALT

Równocześnie z rozejmem na Bliskim Wschodzie zakończyła się w Wiedniu, trwająca od kwietnia br. druga faza rokowań amerykańsko-sowieckich o ograniczenie produkcji broni strategicznych. Nie osiągnięto właściwie żadnych konkretnych postanowień, chociaż komunikat końcowy mówił o „rzeczowych i pozytywnych rozmowach“.

Uzgodniono jedynie, iż dalsze pertraktacje mają odbyć się w listopadzie w Helsinkach. Stany Zjednoczone żywią nadzieję, że dojdzie wtedy do podpisania układu dotyczącego ustalenia „limitu“ produkcji bomb nuklearnych, strategicznych samolotów i międzykontynentalnych pocisków kierowanych. Ameryka gotowa jest pójść na daleko idące ustępstwa, by doprowadzić do zawarcia umowy. Rogers wyraził nawet zgodę na zaprzesta-

DYPLOMATA I PISARZ

zresztą przypomina mi sytuację w roku 1933: Rosja obawiała się wówczas potęgi hitlerowskich Niemiec, wobec czego zaczęła odgrywać rolę ugodowca, przystąpiła do Ligi Narodów, a jako swego delegata do Ligi wysłała Radka, człowieka b. sym-

patycznego i spokojnego. Rosjanie są konsekwentni w swojej polityce zagranicznej, co nie znaczy, że na długą metę zmienili swoją naturę“.

Mina Tomkiewicz

(COPYRIGHT)

pierwszego mocarstwa?

nie fabrykacji ABM (pocisków antyrakietowych) o ile Rosja Sowiecka zaniecha produkcji rakiet SS9, o głowicach wodorowych z wielokierunkowymi pociskami.

Traktat, o ile zostanie kiedyś podpisany, przyniesie korzyść jednej stronie to jest Rosji. Po pierwsze, nada on Związkowi Sowieckiemu status równości z Ameryką o ile chodzi o broń nuklearną. Po drugie, posłuży jedynie za parawan do dalszych tajnych doświadczeń i produkcji pocisków przez Sowiety. Mimo tylu doświadczeń przywódcy państw demokratycznych zdają się nie pamiętać, ile warte są umowy podpisywane przez Rosję Sowiecką. Mają one służyć wyłącznie w tym celu, aby wyprowadzić przeciwnika w pole i uspić czujność opinii publicznej państw zachodnich.

TRAKTAT SOWIECKO-NIEMIECKI

12 sierpnia br. podpisany został w Moskwie traktat między Związkiem Sowieckim i Niemiecką Republiką Federalną stwarzający jakoby podstawy współpracy i normalizacji stosunków w Europie. Dla Moskwy jest to zwycięstwo polityczne i gospodarcze, polityczne — bo utrwała obecne status quo i sowie-

cką hegemonię w Europie Centralnej; gospodarze — gdyż zapewnia współpracę z przemysłem niemieckim, pomoc kapitałową i szybszy postęp technologiczny. Zastrzyk kapitału niemieckiego, wzrost obrotów handlowych, wymiana doświadczeń i specjalistów, umożliwią ożywienie gospodarki kraju i zrównanie poziomu technologii sowieckiej z państwami kapitalistycznymi.

Dla Polski układ sowiecko-niemiecki stanowi wielką niewiadomą. Z jednej strony, traktat mówi m.in. o nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie. Z drugiej jednak niezbyt jasne sformułowanie tego paragrafu umożliwia modyfikację obecnej linii granicznej na podstawie obopólnej zgody między Rosją i Niemcami. Już w kilka dni po podpisaniu interpretowano rozmaicie jego terminologię. Polacy uważają granice za nienaruszalne zgodnie ze słowem „unverletzlich“ zawartym w umowie. Dla Niemców wyraz ten oznacza „niepogwałcalność“ co nie wyklucza zmian dokonanych umową pokojową. Innymi słowy dopuszcza możliwość zmian granicznych z pominięciem Polski. Znow jak w Poczdamie, decyduje się o naszych granicach bez nas. Dla władców w Warszawie jest to smutne stwierdzenie faktu, że los Polski zależy

wyłącznie od Rosji Sowieckiej. Nie ma w traktacie słowa „uznanie istniejących granic“, czego domagał się reżim warszawski.

Traktat sowiecko-niemiecki i cała polityka wschodnią Brandta cieszy się poparciem Ameryki i błogosławieństwem Rogersa. Dla niego układ jest nie tylko wyrazem odprężenia w Europie, ale też wyraźnym znakiem, iż Moskwa zdąży do unormowania wielu problemów międzynarodowych między wschodem i zachodem. W rzeczywistości, Rosja Sowiecka nie poczyniła żadnych konkretnych ustępstw, ani nie zobowiązała się do żadnych koncesji. Osiągnęła to, co chciała za darmo, obiecując tylko uregulować i ułatwić dostęp do zachodniego Berlina. Jak na razie, skończyło się na obietnicach.

Ameryka, rozdarta walkami rasowymi, podzielona na dwa obozy na tle wojny w Wietnamie, straciła wiele ze swego prestiżu. Jej przywódcom brak ducha, siły, woli i wizji lepszego urzędnika świata. Polityka „disengagement“ jest wyrazem powolnego wycofywania się Stanów Zjednoczonych ze stanowiska pierwszego mocarstwa w świecie.

GRYF PUBLICATIONS LTD

MINA TOMKIEWICZ

BOMBY I MYSZY

powieść mieszczkańska

Cena 35 sh.

GEORGE ALLEN
AND UNWIN

MINA TOMKIEWICZ

OF BOMBS AND MICE

A story of Warsaw ghetto

Price: 50 sh. 2.50 dol.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Odnowienie prenumeraty na
czas to najlepsza pomoc dla
pisma!

HENRYK GRUBER

WSPOMNIENIA I UWAGI

1892 — 1942

Trzy części:

- I. BUG WPADA DO WISŁY — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt w Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.
- II. ANATOMIA POCZĄTKÓW — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.
- III. CZART PROWADZI BAL — przejęcia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!

Ilustracje!

Cena: £3.0.0 plus koszt przesyłki!

Wydawca: Gryf Publications Ltd.

SKŁAD GŁÓWNY: Księgarnia Kombatancka — 20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7. — Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

ZMARTWYCHWSTANIE

1-go września sowiecka Agencja Prasowa „Tass“ ogłosiła dekret Politbiura i rządu, mocą którego ministerstwa sprawiedliwości poszczególnych Republik Związku Radzieckiego zostały zniesione, a na ich miejsce wprowadzono centralne ministerstwo sprawiedliwości. We wrześniowym numerze „Orla Białego“ w moim artykule „Umarli straszą w dzień“, między innymi pisałem: „... wszystko wskazuje na to, że władcy Kremla znaleźli się w ślepej ulicy, skąd można się wydostać tylko jedną drogą: marszem wstecz“. Zajmując się sprawami komunizmu od roku 1928 w Instytucie Badań Spraw Komunistycznych, gdzie starannie studiowano taktykę i strategię kapłanów nowej, wzbudzającej odrazę, religii, stałem się sceptykiem do tego stopnia, iż było dla mnie rzeczą niemożliwą dołączenia się do tych wszystkich entuzjastów, których ogarnął optymizm po taktycznej detronizacji wielkiego tyra na XX Kongresie Partii Komunistycznej w dniu 25.II.1956 r., jakkolwiek sam, obok Żdanowa, Malenkowa i Berii był jednym z najokrutniejszych i najkrwawszych oprawców zarówno w okresie przymusowej kolektywizacji, jak i w okresie stalinowskich czystek, które, przypomnijmy sobie ten ponury i krwawy okres w dziejach Rosji Sowieckiej, przybrały charakter masowych morderstw, popełnianych na domniemanych wrogach „socjalizmu“. Przypomnijmy sobie również, że staczenie się w dół po równi pochyłej systemu rządzenia na terenie Imperium Rosyjskiego zapoczątkował Iwan Groźny, powołując do życia swoją tajną policję, tzw. „Oprczynę“, która bez sądów mordowała rzeczywistych i domniemanych wrogów cara, a zwłoki pomordowanych wrzucała do rzeki Moskwy. Gdy książę Michał Repnin, błagał cara, aby pozbył się swej tajnej policji, został właśnie przez tę „Oprczynę“ zamordowany. Od tego czasu okrucieństwo, oparte na bezprawiu i brutalnej sile, nie opuszcza granic Imperium Rosyjskiego i trwa do dnia dzisiejszego.

Tutaj warto przytoczyć klasyczny przykład rosyjskiego okrucieństwa. Przykładu tego dostarcza nam sam

Tołstoj, który pisze, że pewien polski student (nazwisko nie wymienione) zaatakował i lekko zranił profesora. Car Mikołaj I, otrzymawszy raport o zajściu, własnoręcznie napisał, robiąc przy tym 3 błędy ortograficzne, co następuje: „Zasługuje na karę śmierci, ale, dzięki Bogu, nie mamy kary śmierci i ja jej nie wprowadzę. Niech tedy przebiegnie między tysiącem żołnierzy 12 razy“. Mikołaj wiedział, że 12 tysięcy uderzeń „regulaminowym“ kijem brzoźowym oznaczało nie tylko pewną śmierć, połączoną z torturami, ale było zbędnym okrucieństwem, albowiem 5.000 uderzeń wystarczało, aby zabić najmocniejszego człowieka. Podobne przykłady okrucieństw władców rosyjskich, białych i czerwonych, można by przytaczać bez końca.

Gdy władza centralna dopuszcza się okrucieństw, to nieuchronnie obejmują one coraz szersze kręgi rządzonego społeczeństwa, które z natury rzeczy ulega coraz to większej degeneracji. To stało się z narodem rosyjskim, który trądem okrucieństwa zdążył zarazić przezeń podbite narody. W naszej pamięci jeszcze nie zatarły się bestialskie okrucieństwa, jakich dopuszczało się żołdactwo bolszewickie w stosunku do rannych, jeńców i ludności cywilnej w r. 1920 i w czasie II wojny światowej. Narody, rządzone przez Rosjan, uległy zupełnej dehumanizacji i trzeba będzie bardzo długiego okresu czasu, zanim osiągną choćby w przybliżeniu poziom etyki zachodnio-europejskiej. Ale warunkiem wstępnym musi być uzyskanie wolności.

Na marginesie przemówienia Chruszczewa na wspomnianym Kongresie Partii Komunistycznej „Manchester Guardian“ pisał: „Partia z pewnością zrobiła dużo od śmierci Stalina, co daje im poczucie, że są bardziej wolni, ale ona nie podjęła i nie zamierza podjąć ostatecznego kroku w kierunku wolności... Eksperyment może się wymknąć z rąk i

pójść w dwóch kierunkach: ludność może chwycić więcej, aniżeli partia zamierza jej dać, lub też może ona ponownie narzucić ścisłą kontrolę z przeszłości. Droga pośrednia, stopniowy i kontrolowany rozwój demokracji, może być obrona tylko wtedy, kiedy kierownictwo partii byłoby przygotowane na własną zagładę i rezygnację ze wszystkiego, do czego dążyło. Co do tego nie ma żadnych oznak.

Ponieważ w ramach pozorowanej de-stalinizacji zaczęła się rodzić mała opozycja, która zaniepokoiła władców Kremla, tedy trzeba było dokonać zwrotu wstecz. I to jest genezą wspomnianego na wstępie dekretu, który oznacza zmartwychwstanie Stalina oraz nawrót do stosowanych przezeń metod rządzenia Imperium rosyjskim.

Ogłoszony dekret mówi, że sądy nie zapewniały wzmocnienia „discypliny państwowej“, zapobiegania i wykorzeniania przestępstw. Ze wspomnianego dekretu wynika jasno i niedwuznacznie, że zadaniem centralnego ministerstwa sprawiedliwości, zniesionego w 1956 roku, będzie nadzorowanie wymiaru sprawiedliwości, oczywiście, „socjalistycznej“, na terenie całego Imperium rosyjskiego, a to z kolei oznacza przerwienie uprawnień KGB (NKWD), jakie miało ono za czasów Stalina. W tej funkcji nadzorczej ministerstwa sprawiedliwości nieuchronnie „interes państwa“ wysunie się na czołowe miejsce w sensie pojmowanym przez rządzącą klikę, a ponieważ sądy sowieckie są całkowicie pozbawione nawet cienia niezależności, tedy wyroki, jak za dawnych czasów, będą redagowane przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa i przekazywane sądom do odczytania.

Nie ulega wątpliwości, że obok wspomnianej opozycji, jedną z dalszych przyczyn dekretu są powiększające się trudności gospodarcze i ogólne rozprężenie w aparacie partyjnym i administracyjnym. I tutaj się kończą marzenia o destalinizacji.

Autorowi tego artykułu nasuwa

S T A L I N A

się pytanie, czy Rosjanie w ogóle są zdolni po przeszło czterech wiekach „samodzierżawia“ do wypracowania ludzkiego systemu rządzenia tym olbrzymim krajem, uciskającym 17 narodów na własnym obszarze, jeżeli nie liczyć narodów, pozbawionych wolności po II wojnie światowej. Nie chcąc uchodzić z „nieprzejednanego wroga“ Rosjan, oddaję głos rosyjskiemu historykowi, Andrzejowi Amalrikowi, którego książka pt. „Czy sowiecki komunizm przetrwa do roku 1984“ została opublikowana na zachodzie, za co sam autor normalnym porządkiem rzeczy, obowiązującym w Sowietach, powędrował do więzienia. A oto jego wypowiedzi: „Wydaje się, że osiągnęliśmy smutne stadium, w którym koncepcja władzy nie ma żadnej łączności z jakąkolwiek doktryną, lub z osobowością przywódcy, lub też z tradycją, ale z samą władzą, jako taką. Żadna z rządowych instytucji nie ma poza sobą nic oprócz przekonania, że dana funkcja jest zasadniczym składnikiem istniejącego systemu. Jest rzeczą oczywistą, że jedynym celem takiego reżimu... musi być utrzymanie się przy władzy, co obecnie oznacza zachowanie elity biurokratycznej. Przyzwyczajony się do posłuszeństwa rozkazom i do nie zadawania pytań, biurokraci, raz dorwawszy się do władzy, wykazują nadzwyczajną zdolność do utrzymania jej w swoich rękach, ale nie mają pojęcia, jak jej używać. Oni nie tylko nie są zdolni do nowych pomysłów: każdy nowy pomysł uważają oni za atak na ich własne uprawnienia“. Zagadnienie wolności osobistej Amalrik ujmuje w sposób następujący: „Co się tyczy respektowania praw indywidualnych, to tego rodzaju idea wywołuje po prostu zdziwienie. Rosjanin może odczuwać respekt dla siły, dla władzy, a nawet dla inteligencji czy wykształcenia. Ale żeby ludzka osobowość mogła reprezentować jakiegokolwiek wartości, to tego rodzaju myśl jest powszechnie uważana za niedorzeczną“. Czyż nie ma tu odpowiedzi na pytanie, które tak często zadawaliśmy

sobie, skąd brało się to okrucieństwo nawet (w stosunku do) dzieci, okazywane nie tylko przez enkawudzistów, ale również przez sowieckich żołnierzy?

Zdaniem Amalrika główną przyczyną niechęci Rosjan do stworzenia silnego ruchu opozycyjnego jest brak u Rosjan zasad moralnych. Moralność chrześcijańska została zniszczona. Na jej miejsce usiłowano wprowadzić moralność „klasową“. Ale ta stała się jedynie czynnikiem demoralizującym społeczeństwo. Ponieważ marksizm został zupełnie zdevaluowany, tedy zastąpiono go przez nacjonalizm. „Jednakże potrzeba ideologii zmusza reżim do szukania nowej — wielkorosyjskiego nacjonalizmu, który jest wrodzonym dla kultury siły i ekspansyjnym ambicji wśród Rosjan. Reżim, hołdujący tego rodzaju ideologii musi mieć zewnętrznych i wewnętrznych wrogów, jak np. „amerykańscy imperialiści“ i „antysowieckie siły“, Chińczyków i Żydów. Tego rodzaju nacjonalistyczna ideologia, jakkolwiek na krótką metę, pozyska zwolenników dla rządu, jest bardzo niebezpieczna dla kraju, w którym Rosjanie stanowią mniej, niż połowę ludności“ — dododzi Amalrik.

Jak widzimy, Amalrik pokazuje nam kraj bez religii i bez moralności, którego ludność wierzy w siłę rządu i zarazem tej siły boi się. Natomiast, jeśli wybuchnie ogólne niezadowolenie i przerodzi się w rewoltę, to rewolucje 1905 i 1917 roku okażą się czymś bardzo łagodnym w porównaniu z tym, co stałoby się w Rosji w wypadku nowej rewolucji — konkluduje autor tej fascynującej książki. Taka ewentualność nie jest bez wpływu na wydanie dekretu o ogólnosowieckim ministerstwie sprawiedliwości.

Zbigniew Byrski swój artykuł „Rewizjonizm polityczny w Europie Wschodniej“ (Kultura Nr. 1/268) kończy słowami: „Komunizm jest jak zaklinowany od wewnątrz mechanizm. Nie ma już do niego żadnego klucza. Można go tylko rozbić uderzeniem młota“.

OFICyna POETÓW I MALARZY

FRANCISZEK LACHOCKI

G N I A Z D A J A S K Ó Ł C Z E

poezje

Do nabycia bezpośrednio u autora:

FRANK LACHOCKI,

74-22nd Street,

Irvington, N.J. Z.C.07111, USA.

lub w księgarniach.

Cena: 3.00 dol. lub równowartość
w innych walutach.

WOLNE OD OPLAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żylaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie
Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & CO.,

T A Z A B H O U S E

ROLAND GARDENS,
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z

Représentation de Tazab à Londres,
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

K A L E F L U I D

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

F R A N C J A

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

W ZWIĄZKU z obchodem 400-lecia Unii Lubelskiej pojawiło się w londyńskim „Tygodniu Polskim“ dużo artykułów dotyczących wzajemnego stosunku Korony i Litwy, będących częściami składowymi Rzeczypospolitej Obojga Narodów — czyli Polski. Ogromna większość autorów tych artykułów ustosunkowała się pozytywnie, a niektórzy nawet entuzjastycznie (na przykład Ukrainiec Konstantyn Zełenko i inni) do idei i koncepcji Unii Lubelskiej, jako faktu politycznego o ogromnym znaczeniu historycznym i świadczącym o mądrości jego twórców. Nie obyło się jednak przy tej okazji bez zarzutów i rekryminacji względem Polaków, głównie ze strony Litwinów. Charakterystyczny w tym względzie jest artykuł profesora Zenonasa Ivinskisa (Litwina) pt. „O stosunkach litewsko-polskich“ zamieszczony w „Tygodniu Polskim“ z dnia 27 czerwca 1970 roku.

Artykuł ten już omówił wnikliwie i ze znajomością rzeczy J. Łobodowski w artykule pt. „Litwa i Białoruś“ („Tydzień Polski“ Nr. 30 z bież. roku). Chodzi więc tu tylko o poruszenie tego, czego nie ma w tym artykule.

Na wstępie należy stwierdzić, że polsko-litewski spór i niesnaski mają swe źródło w nieporozumieniu, a raczej zostały wywołane litewską megalomanią, urojeniami i fałszywym pojmowaniem dziejów. Przed związkiem z Polską w Wielkim Księstwie Litewskim najwięcej ludności mówiło po białorusku i po rusku (ukraińsku). Drobnym odsetkiem mieszkańców tego kraju mówił po żmudzku. Po unii z Polską szybko zaczęły wzrastać polskie wpływy kulturalne i cywilizacyjne, głównie za pośrednictwem Polaków osiedlających się na Litwie. Toteż z biegiem czasu dużo ludności mówiło po polsku. Nawet po rozbiorach, pomimo brutalnej polityki rusyfikacyjnej rządu rosyjskiego, nieprzymuszona polonizacja kraju robiła duże postępy. W konsekwencji z wpływem czasu element polski nie ustępował ilościowo białoruskiemu i ruskiemu, a może nawet je przewyższał.

Stąd wypływa wniosek, że wszyscy mieszkańcy Wielkiego Księstwa Litewskiego byli Litwinami, ale nikt nie mówił po litewsku, bo nie było

WIELKIE KSIĘSTWO

takiego języka, tak samo jak obecnie nie ma języka szwajcarskiego w wielojęzycznej Szwajcarii.

Po rozbiorach z niezrozumiałych względów Żmudzini, stanowiący najmniejszy i znikomy odsetek mieszkańców Litwy, ogłosili wszem i każdemu z osobna, że tylko oni są Litwinami, a swój żmudzki język nazwali litewskim, zmierzając w ten sposób do pozbawienia narodowości litewskiej Litwinów mówiących po polsku, po białorusku, po rusku, po poleszucku i inn.

Nie było w tym nic zdrożnego i irytującego, gdyby Żmudzini po tej metamorfozie ograniczyli swe pretensje terytorialne tylko do swej rodzimej Żmudzi. Sedno rzeczy jest w tym, że ogłosili się oni jedynymi spadkobiercami całego obszaru byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, zgłaszając pretensje do Wilna, Nowogródka, Grodna, Brześcia n/Bugiem, Pińska i innych miast i terenów. Trudno sobie wyobrazić jak mogliby oni rzucić taką Litwą, w której byłaby znikoma ilość Żmudzinów, zwanych siebie Litwinami, gdyby ich sny o wielkości i potęgę urzeczywistniły się.

Można sobie wyobrazić jakie byłoby zaskoczenie i zdziwienie, gdyby wbrew wszelkiej logice i rozsądkowi Szwajcarzy mówiący po włosku, którzy stanowią około 5 procent ludności kraju, ogłosili, że tylko oni są Szwajcarami i że ich język jest „szwajcarski“, ponadto zgłaszając swe pretensje do całego kraju i jego stolicy (Bern), której ludność mówiła od wieków i mówi obecnie po niemiecku i żądając, aby nauczyła się „szwajcarskiego“ języka, zapominając o swym języku niemieckim.

Podobna jest sytuacja jeżeli chodzi o pretensje Żmudzinów do Wilna, b. stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie nigdy nie było Żmudzinów. Do miasta tego mogą mieć ewentualnie historyczne prawa Białorusini, gdyż niewątpliwie przed unią z Polską miasto to było zamieszkałe przez ludność mówiącą po białorusku, która uległa całkowite-

mu spolszczeniu. Takie rozwiązanie tej kwestii też doprowadziłoby do absurdu, albowiem Białorusini mają takie same prawo do Wilna, jak Waliżycy do Londynu.

* * *

Prof. Ivinskis przyznaje, że nie było próby polonizacji Żmudzinów przy użyciu gwałtu i przemocy, które po rozbiorach stosowali Niemcy względem Polaków. (Zresztą jest to poroniony i bezskuteczny sposób wynaradawiania, który przyczynia się raczej do wzmocnienia poczucia narodowego). Dodaje jednak, że „niemniej w drugiej połowie XIX w. niemały nacisk polonizacyjny w Litwie miał miejsce“. Zdanie to wywołuje zdziwienie i konsternację, gdyż niewątpliwie wszyscy wiedzą dobrze, że wtedy Rosjanie rządili tym krajem. Autor jednak dalej wyjaśnia, że nacisk ten „szczególnie uwydatniał się wtedy, gdy na parafie czysto litewskie byli wyznaczani księża Polacy o nastawieniu skrajnie nacjonalistycznym. Zdarzały się wówczas, nierzadko, fakty bójek w kościołach w miarę wzrostu uświadomienia narodowego Litwinów“.

I tu ponownie przecieramy oczy wobec nierozstrzygniętej zagadki po co i dlaczego „w czysto litewskich parafiach“ Litwini bili się między sobą, gdy przysłano im księdza Polaka? Przecież bardziej rozsądnie byłoby w najlepszym razie nie chodzić na jego nabożeństwa i nie dawać mu ofiar, a w najgorszym razie wyrzucić przemocą, lub nawet go pobić jako „rzeczywistego wroga“.

Rzecz jest w tym, że bójki w kościołach miały miejsce tylko w parafiach o ludności mieszanej i tam, gdzie ilość Polaków i Litwinów była w przybliżeniu równa. W parafiach czysto polskich lub litewskich bójek w kościołach nie było, bo nie było o co się bić, a tam gdzie było mało Polaków lub Litwinów mniejszość narodowościowa nie mając szansy zwycięstwa zachowywała się spokojnie.

LITWESKIE

Bójki zazwyczaj były spowodowane tym, że po łacińskiej mszy św. Polacy i Litwini rozpoczynali jednocześnie śpiewać pieśni religijne w dwóch różnych językach. Tam gdzie było mało Polaków lub Litwinów, takie solo występy byłyby zagłuszone przez większość i mogłyby tylko wywołać śmiech i drwiny ze strony stanowiącej większość, a nie krwawe niekiedy starcia.

Nie jest zgodne z prawdą, że „na parafie czysto litewskie“, których zresztą na Żmudzi nie było, „byli wyznaczani księża Polacy“. Wręcz przeciwnie, księża Litwinów wyznaczano na parafie polskie, często. Powodem tego był fakt, że księża litewskich było proporcjonalnie do ilości wiernych narodowości litewskiej dużo więcej niż księża polskich, którzy nie znali języka litewskiego. Chłop żmudzki uważał, że wykształcenie syna na księdza jest dobrym interesem materialnym. (Charakterystyczne było powiedzenie: „Kuniġas bus — piniagu bus“ — co znaczy „będzie ksiądz, będą pieniądze“). To było powodem, że chłop masowo wysyłał swych synów do seminariów duchownych.

Należy przyznać bezstronnie, że księża zarówno Polacy jak i Litwini, robili wszystko co było w ich mocy, aby ostudzić temperamenty i nie dopuścić do bójek w kościołach, ale często wysiłek ich był daremny i bezskuteczny.

* * *

Prof. Ivinskis pisze, że tor kolejowy po stronie litewskiej między Jewiami (po litewsku Vievis) a granicą polsko-litewską był „zarosnięty sporymi sosenkami“. Nie pisze jednak, że po obu stronach tego toru ludzie mówili tylko po polsku, a nawet nie znali języka litewskiego. Zresztą to samo było w miasteczku Jewie i w całej parafii jewiejskiej.

Znam dobrze te strony, gdyż stamtąd pochodzę i spędziłem tam pierwsze lata mojego życia.

Na początku pierwszej niemieckiej okupacji objął parafię jewiejską Litwin (ks. Ciunajcis) Wszystkie śpiewy i modły odbywały się, oczywiście, nadal po polsku. Jednakże ksiądz ten wygłaszał w niedzielę dwa kazania: po litewsku przed sumą i po polsku po sumie. Taki rozkład zajęć był konieczny dlatego, że gdyby kazanie po litewsku było wygłaszane po sumie wszyscy opuściliby kościół i ksiądz musiałby mówić do pustych ścian, a tak ci co przyszli wcześniej do kościoła, aby uniknąć zimna w zimie, lub utracić miejsce siedzących w łecie, „siedzieli jak na tureckim kazaniu“.

Jesienią 1939 roku po ucieczce z Polski na Litwę odwiedziłem moje rodzinne strony, gdzie mieszkała moja matka, krewni i znajomi. Nie wiele tam faktycznie się zmieniło w ciągu 19 lat. Przybyło wprawdzie do miasteczka trochę litewskich urzędników, policjantów i nauczycieli oraz w okolicy Jewiów osadzono trochę b. litewskich żołnierzy na rozparcelowanych majątkach — ale było to kroplą w morzu. Ksiądz litewski wygłaszał w niedzielę, jak przedtem, kazanie po litewsku przed sumą i po polsku po sumie. Wszędzie słyszało się polską mowę. Nie było jednak polskich szkół i urzędowy nacisk litwinizacyjny był intensywny, przykry i dokuczliwy. (Np. występujący w sądach musieli sami opłacać tłumaczy bez względu na to czy byli stronami, oskarżonymi czy świadkami, podczas gdy na całym świecie koszty tego rodzaju ponosi państwo, a ponadto często musieli oni wysłuchiwać wymyślań sędziów za to, że nie nauczyli się języka litewskiego).

Dodać tu wypada, że przed pierwszą wojną światową mieszkał w Jewiach jeden Litwin, z zawodu aptekarz, którego koniec był żalony i tragiczny. Tuż przed wojną ksiądz wygłaszając kazanie potępił bójki w kościołach na Żmudzi i wyraził zdanie, że tylko dzięki temu, iż w jego parafii ludność jest jedno-

licie polska, nie ma gorszących zająć w kościele. Słyszac to Litwin- aptekarz powiedział: „Jesteś kłamcą wobec Boga“. Na to ksiądz zareagował powiedzeniem: „Wyprowadźcie go!“ — „Nie trzeba, sam wyjdę“ — odparł hardy Litwin i rzeczywiście wyszedł z kościoła. Na jego nieszczęście pobiegło za nim kilku młodzieńców, którzy pobili go do tego stopnia, że w kilka dni umarł, przy czym policja nie wykryła sprawców.

Parafia jewiejska była położona w pow. trockim, na terenie historycznie białoruskiej Litwy. Gdyby po pierwszej wojnie światowej wytyczono granicę między Polską a Litwą na zasadach etnograficznych granica ta musiałaby być przesunięta w głąb Litwy o około 30 kilometrów, tj. gdzieś poza Żośle, a może nawet Koszedary, położone tak samo, jak Jewie przy torze kolejowym łączącym Wilno z Kownem, czyli do granicy Żmudzi. Z tego widać, że Litwa otrzymała kosztem Polski więcej terytorium niż jej według etnicznej kryterium należało się.

* * *

Twierdzenie publicystów litewskich, że duża ilość żmudzkiej Litwinów uległa spolszczeniu jest niczym nieuzasadnionym mitem, albowiem było rzeczą absolutnie niemożliwą wynarodowić ciemnych i mówiących absolutnie innym językiem chłopów. Fakt nauczania się przez większość z nich mówienia po polsku, nie stanowił wynarodowienia, albowiem w duszy byli oni nadal Żmudzinami i na codzień używali mowy żmudzkiej.

Inna jest sprawa jeżeli chodzi o Litwinów białoruskich, którzy jeszcze przed Unią z Polską mieli własną kulturę i piśmiennictwo. Nawet na Żmudzi książęta panujący używali w mowie i piśmie języka białoruskiego. To samo dotyczy arystokracji i szlachty. Ponadto na Żmudzi język białoruski był językiem urzędowym.

Historycy twierdzą, że prawie cała arystokracja polska była pochodzenia litewskiego. Nie znaczy to jednak, że przodkowie Radziwiłłów, Sapiehów i innych rodów książęcych używali kiedykolwiek języka

Z ZAGADNIEŃ GENETYKI

NA NIEDAWNO odbytej konferencji „Brain Research Association“ zabrał głos amerykański, bardzo dobrze znany genetyk-pedagog, prof. Jensen.

Zanim echo jego mowy przebrzmiało, zanim zdążyli odpowiedzieć miarodajni fachowcy, już reporterska sfora egalistów, pacyfistów, komunistów i dziesiątek innych uszczęśliwiaczy ludzkości, obojga płci, a różnego koloru skóry, napiętnowała go jako reakcjonistę, faszystę, pozabawionego wszelkich moralnych i etycznych zasad, wręcz — groźnego zamachowca na cywilizację.

Nieposzlakowany i nieprzekupny genetyk, zapatrzony jedynie w prawdy, odkryte zgodnie z żądaniami niezależnej nauki, wrzucił ramionami i odparł krótko, choć dobitnie: W tych i podobnych sprawach należy ubolewać nad niezdolnością oddzielenia aspektów, podlegających naukowemu badaniu, od moralnych, politycznych i społecznych zagadnień.

O co tyle krzyku i namiętnych oskarżeń zamiast chłodnej i nieuprzedzonej oceny dokładnie przedstawionych faktów? Prof. Jensen doszedł do wniosku że **współczynnik**

inteligencji (Intelligence Quotient) **dzieci murzyńskich**, przyjąwszy wszystkie inne okoliczności za identyczne, **jest niższy aniżeli dzieci rasy białej**.

Wspomniana konferencja dyskuutowała nad sposobem oceny stopnia wrodzonej, tj. odziedziczonej, inteligencji, jeśli za kryterium obiera się zdolność abstrakcyjnego rozumowania. Następnie — nad metodologicznymi i empirycznymi zagadnieniami, wyłaniającymi się przy próbie doszukiwania się związków między dziedzicznością cech psychicznych, a innymi łatwo uchwytnymi, ludzi różniącymi znamionami. Konferencja, jednym zdaniem, pragnęła ustalić, czy i z jakim prawdopodobieństwem wolno przyjąć, że istnieje związek między dwoma zupełnie niezależnymi zespołami cech dziedzicznych. W konkretnym przypadku — między inteligencją a rasą.

Nie można odmówić prawa żadnemu uczonemu (ale jedynie z prawdziwego zdarzenia a nie z szkoły ignoranta Łysenki) utrzymania, że każdy noworodek ma równe szanse życiowe i dopiero

czynniki zewnętrzne decydują o jego przyszłym rozwoju i osiągnięciach. Zanim jednak ktoś waży się wystąpić z taką czy inną hipotezą, powinien rozważyć szereg zagadnień, wkraczających w dziedzinę statystyki, a więc wyższej matematyki i techniki. Każdy śmiałek wie, że nawet definicja hipotezy podlega dyskusji i granice między dozwoloną, naukową kalkulacją a niepohamowaną fantazją są płynne.

Prof. Jensen nie wystąpił z żadnym ostatecznym dowodem, wysunął jedynie hipotezę, jedną z wielu, do czego jest najzupełniej uprawniony i naukowo należycie przygotowany. Domaga się od równych mu fachowców odważnej konfrontacji z zagadnieniami przez siebie wysuniętymi a nie wstydlivego uchylania się.

Należy oczekiwać, że żaden z ostrożnych znawców problemu nie pozwoli unieść się emocji lub fantazji. Teza prof. Jensena nie przynosi nikomu ujmy. Przyjąwszy nawet, że prof. Jensen ma rację, że istnieją różnice w przeciętnym poziomie inteligencji między rasami i klasami, musimy również przyznać, że istnieją również poważne różnice między osobnikami tej samej rasy lub klasy.

Hipoteza Jensena, znakomitego genetyka i psychologa, nie ma na celu popierania żadnego kierunku ani rasistowskiego ani segregacyjnego. Jensen nie zgadza się jedynie, co zresztą czyni każdy szanujący się genetyk, z modnym dzisiaj zapatrywaniem edukacyjnej filozofii, jakoby wszystkie nowonarodzone dzieci posiadały równe szanse i jakoby stwierdzalne różnice między nimi były jedynie następstwem wpływu otoczenia. Jego przeciwnicy proponują, aby zauważone ujemne cechy, spowodowane czynnikami zewnętrznymi, poprawić i w ten sposób zrównać dziecko upośledzone z uprzywilejowanym. Dopiero wówczas powierzyć jedno i drugie jednolitemu systemowi wychowczemu. Taki plan otwiera znakomite po-

WIELKIE KSIĘSTWO LITEWSKIE

źmudzkiego. Mówili oni i pisali wyłącznie po białorusku lub po rusku. Urok jednak i wyższość polskiej kultury przyczynił się z biegiem czasu do całkowitego ich spolszczenia i za to nie można winić Polaków. „Volentj non fit in'ura“ (chcącemu nie dzieje się krzywda) — mówi rzymski aforyzm prawny.

To samo stało się ze szlachtą (bojarzy). Ponadto spolszczył się duży odłam włościaństwa. Dotyczy to szczególnie włościan wyznania katolickiego. Pozostały wprawdzie, nawet na Wileńszczyźnie, wioski gdzie ludzie mówili i mówią na codzień i w kręgu rodzinnym „po prostu“, jak sami nazywają swoją mowę, czyli po białorusku. Ale jako będący „polskiej wiary“ w zetknięciu się z obcymi i w miejscach publicznych przeważnie mówili i zawsze modlili

się po polsku. Nie do pomyślenia bowiem było, aby przemawiać do Boga i prosić Go o coś w „prostej mowie“. Zresztą język białoruski jest raczej gwarą języka polskiego.

Odwrotnie element polski na Żmudzi był przeważnie elementem napływowym.

Jednej rzeczy jeszcze Litwini nie rozumieją czy może nie chcą zrozumieć. Gdyby Polska łąknęła ich żmudzkiej ziemi, na pewno w 1920 roku zajęłaby całą Litwę. Rosjanie na pewno tak postąpiliby już wtedy, gdyby nie przegrali wojny z Polską. Polska wzięła tylko swoje Wilno, do którego miała niewątpliwie pełne prawo etniczne, i ochroniła Litwę od rosyjskiej niewoli na okres międzywojnia.

Aleksander Stambrowski

le do obserwacji na wybranym przygotowanym materiale.

Prof. Jensen zachęca, aby opiekunowie tej idealnej społeczności dziecięcej pilnie baczili, czy jednak nie zaznaczą się indywidualne różnice w rozwoju, świadczące o różnych stopniach zdolności i różnym stylu uczenia się. Jego uwagi imponują przedmiotowością i logiką, które trudno dostrzec u zajadłych przeciwników.

Podobne rezultaty do jensenowskich stwierdzono na materiale klasy robotniczej i średniej. Ta druga wykazywała wyższy współczynnik inteligencji.

Francuz Helvetius twierdził, 200 lat temu, że wszystkie dzieci rodzą się z jednakową inteligencją. Jeden z amerykańskich entuzjastów planowania, prof. Watson, zakłada się, że z każdego zdrowego noworodka, powierzonego jego opiece, stworzy stosownie do życzenia: lekarza, artystę, rzemieślnika, a nawet ... złodzieja. Niestety, propozycja musi pozostać na papierze lub w telewizji.

Przed 100 laty Franciszek Galton, autor „Hereditary Genius“, dowodził, że intelektualne osiągnięcia zależą w pierwszym rzędzie od ogólnych, wrodzonych zdolności. Sir Cyril Burt potwierdza dzisiaj, że różnice w inteligencji zależą w 90% od dziedziczności. Pozytywny dowód tej teorii nie jest łatwy. Można natomiast zademonstrować, że jeśli chromosomy (nositelce cech dziedzicznych) zdradzają anormalności, wówczas inteligencja lub inne cechy psychiczne cierpią. I tak np. osobnik z dodatkowym chromosomem X (tzw. seksualnym) zdradza często kryminalne skłonności, kobieta z jednym tylko chromosomem orientuje się wadliwie w przestrzeni. Cierpi na zespół Turnera i jest „space form blind“.

Mimo ataków na rolę i ważność współczynnika inteligencji jego oznaczenie jest pomocne przy wyborze studiów, przyznaniu stypendiów i selekcji osób do szczególnie ważnych misji (piloci, astronauty). Test inteligencji zyskuje na znaczeniu, jeśli, powtarzany w krótkich odstępach czasu, daje identyczne rezultaty. Wskazuje na żywość umy-

śłu, na jego jasność i znakomitość (brightness, brilliance), służy jako wskaźnik do otwierających się możliwości. Studenci z wyższym współczynnikiem mają lepsze stopnie. Nie wolno jednak zapominać, że współczynnik jest jednym tylko warunkiem powodzenia. Nie jedynym jednak. Wytrzymałość fizyczna, zdrowie, wytrwałość, charakter, wdzięk, itd. nie są obojętne dla kariery życiowej.

Nie posiadamy obiektywnych metod do mierzenia inteligencji. Nie określamy współczynnika w kilogramach lub metrach. Na temat różnic pod względem współczynnika wśród członków ras, narodów, rodzin, a nawet rodzeństwa pisano wiele, lecz niezbyt krytycznie. Doszukiwano się różnych korelacji między inteligencją a innymi cechami. Możemy ją w tym miejscu bez szkody pominąć. Stwierdzono natomiast niewątpliwie, że współczynnik identycznych bliźniąt, chowanych oddzielnie, nie różni się zbytnio, a często wykazuje ten sam poziom. Dzieci chowane w sierocińcu, a więc poddane działaniu tych samych czynników zewnętrznych, wykazują jednak te same różnice pod względem współczynnika, co dzieci reszty ludności. Adoptowane dzieci, przeniesione z jednego środowiska do obcego, często korzystniejszego, z jednej klasy społecznej do innej, mają jednak współczynnik więcej zbliżony do naturalnych, aniżeli przybranych rodziców. Jensen twierdzi, że 80% różnorodności pod względem inteligencji ma swe źródło w dziedziczności. Matematyczne kalkulacje wymagają jednak wielkiej ostrożności. Fehr, np. przyjmuje, że nie 80%, lecz 38%.

To są jednak „spory w rodzinie“, w dozwolonych i pożądanym granicach nauki. Argumenty za i przeciw nie wypływają z demagogii lub korupcji, ich przyjęcie lub odrzucenie nie zależy od politycznej filozofii lub wręcz przekupstwa.

Na marginesie omówionych zagadnień warto poruszyć i rolę eugeniki tj. nauki, zajmującej się ulepszeniem rasy. W tej dziedzinie pseudo-uczeni i „science writers“ (istna plaga ludzkości) pozwalają sobie na swobodę, przekraczając granice wszelkiego umiaru.

Można przyjąć za możliwe, że rodzice z wysokim współczynnikiem inteligencji (tak ojciec jak i matka) spłodzą dziecko również tego poziomu. Eugenicznego efektu na całą populację, a więc na poprawę jakości rasy czy pewnej tylko grupy, ten fakt nie wywrze. Gdyby się znalazła jakaś większa grupa szczególnie uzdolnionych par i gdzieś w odosobnieniu na jakiejś utopijnej wyspie, żyła separowana od reszty ludzkości, to po wielu generacjach — pesymiści przyjmują: dopiero po dwunastu — zaznaczyłyby się w tej grupie odludków wyraźny wzrost przeciętnego współczynnika inteligencji. Osiągnąwszy jednak pewien szczebel, współczynnik nie posunąłby się już wyżej, natomiast groźba, że inne cechy, zwłaszcza degeneratywne i chorobowe, rozwiną się, byłaby bardzo istotna.

Prof. Müller, znany genetyk, proponował rzecz rewolucyjną. Wyobrażał sobie, że jeśli każde małżeństwo jakiejś populacji, poza własnymi dziećmi wyprodukuje jedno dziecko dodatkowe, poczęte sztucznie przez wprowadzenie spermy jakiegoś znakomitego dawcy, to wówczas poziom inteligencji danej społeczności wzrośnie. Wbrew optymizmowi profesora biologiczne trudności i nieprzewidziane niespodzianki przemawiają dobitnie przeciw słuszności podobnej koncepcji. Przyjąwszy jednak, że 10% kobiet ludności z przeciętnym współczynnikiem zgodziłyby się na propozycję Müllera, współczynnik następnej generacji wzrosłby jedynie o 1,5 punktów, co nie zaznaczyłoby się w najmniejszej mierze na inteligencji ogółu.

Eugenika nie jest polem dla chorobliwych fantazji. Jej zadaniem jest badanie defektów i chorób pochodzenia niewątpliwie dziedzicznego, przeciwdziałania szerszeniu się tych z reguły anormalności drogą pouczania i zapobiegania. Na tym polu genetyk i eugenik mogą oddać rodzinie i społeczeństwu cenne usługi. Należy z nich gorliwie korzystać, gdyż taka pomoc zdolna jest oszczędzić wielu rozczarowań, zmartwień a nawet tragedii.

Fryderyk Goldschlag

NIAGARA FALLS

SZOSA prowadząca z kanadyjskiego miasta Toronto do wodospadów Niagary, oddalonych o 100 kilometrów, płynie szeroką białą wstęgą jednej z najlepszych prawdopodobnie asfaltowych nawierzchni świata. W pewnym punkcie, z odległości szosa robi wrażenie wspinania się niemal pionowo na horyzoncie. Oczywiście, jest to złudzenie: oto dojeżdżamy do wspinałego mostu przelotowego, doprawdy, chyba ósmego cudu świata w dziedzinie osiągnięć technicznych. Ze środka mostu można w oddali dojrzeć zarysy celu naszej wycieczki: jednego z ustalonych siedmiu cudów świata — Wodospadów Niagary.

Autobus nasz wjeżdża wreszcie do miasteczka Niagara Falls, w którym od razu, nawet na tym dalekim przedmieściu — pachnie wodą. Tak, wodą i wilgocią, która osiada nam jak woalka na twarzach, mimo, że dzień jest wyjątkowo słoneczny. Miasteczko Niagara Falls, chociaż niewielkie, rozkłada się szeroko w terenie: na tej ziemi kanadyjskiej o jednym z najniższych zaludnień ludnościowych na Zachodniej Półkuli, nikt nie żałuje sobie rozmachu przestrzeni. Cieniste aleje kasztanowe, lub ciemno-czerwone klony prowadzą do samego centrum tego pogodnego miasta. Nad dzielnicą handlowo-rozrywkową góruje z oddali jedna z trzech kolosalnych wież, wieża Seagram, po której zewnętrznej powierzchni jak niezaradne mrówki pną się w górę, lub zjeżdżają w dół windy-kabiny obserwacyjne. Dziwny to widok, taka oszklona kabina na zewnątrz murów. Jest to jednak najlepszy sposób, ażeby przez ich całkowicie oszklone ściany zaobserwować leżące w głębokiej dolinie oba wodospady: ten, olbrzymi i groźny w kształcie doskonałej niemal podkowy — wodospad po kanadyjskiej stronie granicy, niezapomniany Horseshoe, czyli właśnie podkowa, oraz ten nieco mniej imponujący — po amerykańskiej stronie. Nie kierujemy się jednak ku

wieży, wysiadłszy z autobusu. Już w Toronto nasza paczka turystyczna postanowiła sobie zachować widok Wodospadów na pożegnalne chwile, aby tym silniej zapamiętać wrażenie, jakiego doznamy. Zaczynamy więc od samego miasteczka.

Jest ono naprawdę zadziwiające. Przypomina jakiś kolosalnych rozmiarów Luna-Park. Niemal jakbyśmy zostali naraz przeniesieni do słynnego Tivoli w Kopenhadze. Jest to osiedle kolorowe, rozkrzyczane, roztańczone karuzelami, huczne od strzelnic, migocące, nawet podczas dnia, tysiącem bawnych neonowych reklam. Co krok bary, restauracje i stragany pod gołym niebem, na których sprzedaje się gorące kiełbaski i słynne amerykańskie siekane kotlety w bułce — hamburgery. Obok kulinarnych przedsiębiorstw — stoiska przepowiadaczy przyszłości i wszelkiej dobrej lub złej fortuny. Tuż za nimi — fotografowie, z gotowym już tłem wodospadów na wyblakłym płótnie. Tylko głowę włożyć w wycięte w tekturze kółko — i już na łódce jak naparstek płyniemy dzielnie wśród wzburzonych fal.

Nad główną ulicą miasteczka, na wysokości drugiego piętra, pomiędzy dachami dwóch dość staroświeckich domów — balansuje się postać wspinałego mężczyzny w zeszlówiecznej, białej pelerynie z połyskliwego jedwabiu. Z drążkiem w dumnie podniesionych rękach ten gipsowy szaleniec robi wrażenie żywego człowieka. Figura, z pobłażliwym uśmiechem na wspinałe odrobionej twarzy, z prawdziwymi, zdaje się włosami, ostrożnie stawia nogę za nogą na cienkiej, cyrkowej linie. Któż to jest? Czyj to portret tak uwieczniono ku uciesze turystów? Oto słynny Blondin, największy cyrkowiec świata. W drugiej połowie XIX wieku ten nieustraszony magik trapezu dla uczczenia wizyty ówczesnego księcia Walii, późniejszego Edwarda VII w dominium Kanady, przeszedł po cienkiej linie dwukrotnie nad rozszalałymi wodospadami Niagary. Czynem

swym wzbogacił nie tylko kanadyjską wizytę często filuternego następcy tronu brytyjskiego, ale i samo miasteczko, które od chwili jego, doprawdy, desperackiego wyczynu zaczęło nabierać sławy jednego z najmodniejszych centrów rozrywkowych.

Obok postaci niezwykłego Blondin'a, o dwa piętra niżej, zauważamy filię prastarej a bardzo szacownej instytucji z Londynu, oto gabinet figur woskowych Madame Tussaud, która podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej schroniła się do Londynu, aby kontynuować tam jedyny w swoim rodzaju przemysł — odtwarzania w wosku sławnych i niesławnych tego świata. Obecnie, przedsiębiorcy pra-pra-wnukowie tej wyjątkowej w swoim rodzaju artystki, a szczególnie zamerykanizowany Louis Tussaud — znaleźli i tu swe pole do popisu. Przed drzwiami, prowadzącymi do „gabinetu“ Madame Tussaud stoi bowiem niemal że kilometrowy ogonek. Chełwi mocnych wrażeń jednodniowi turyści czekają cierpliwie na swoją kolej, żując z zadowoleniem wydymaną kukurydzę, czyli słynny amerykański „pop-corn“, zapijając go często i gęsto coca-cola.

Niagara Falls zwiedza corocznie 12 milionów ludzi. Natura umieściła te słynne wodospady w jednym z najżyźniejszych i najczarowniejszych pasów rolniczych Kanady. Na zboczach pól, po drodze do samych Niagara Falls pną się winnice, w niczym nie ustępujące winną rozrodczością winnicom Francji. Tu, w tym pasie wokoło Wodospadów przemysł kanadyjski wyrabia swe klarety i burgundy z winorośli niegdyś sprowadzanych z Francji. Tylko szampan kanadyjski jakoś nie „udaje się“. Do tego bowiem trzeba, jak mówią eksperci, jedynych na świecie wapiennych pieczar francuskiej Szampanii.

Sady owocowe rozciągają się po obu stronach głównej szosy i dojazd do miasteczka Niagara Falls podczas kwitnienia owocowych drzew,

lub wczesnym czerwcem, kiedy okoliczne pola usiane są milicjami tulipanów — jest widokiem jedynym w swoim rodzaju. Może warto tu dodać, iż hodowla tulipanów na kanadyjskiej ziemi jest stosunkowo młodym przedsięwzięciem. Datuje się ona od pobytu holenderskiej następczyni tronu — Juliany, która podczas ostatniej wojny znalazła tu spokojny azyl. Po wojnie — pierwsze tulipanowe cebulki zostały przez nią przysłane rządowi kanadyjskiemu w podziękę za długotrwałą i serdeczną gościnę.

Nie wiadomo dlaczego, ale Niagara Falls jest także ulubioną miejscowością nowożeńców. Najliczniejsze czerwcowe małżeństwa, bo czerwiec wciąż przoduje w światowym wyścigu zawierania małżeństw — okupują wszystkie hotele w tym ciepłym miesiącu, wszystkie pensjonaty, czy prywatne pokoje do wynajęcia. Biada temu, kto w czerwcu chce przyjechać do Niagara Falls na dobrze zasłużony urlop bez uprzedniego zamówienia mieszkania. Może równie dobrze spać pod wodospadem.

Jedną z największych atrakcji dla tysięcy turystów jest także miniaturową miasteczko w samym sercu miasta Niagara Falls. Znane pod nazwą Canadia City, mieści ono na przestrzeni 11 akrów ponad 100 wspaniale odrobionych modeli najważniejszych budowli oraz zabytków historycznych całej Kanady. Jest to prawdziwy raj dla dzieci szkolnych, które — zwiedzając — uczą się bezboleśnie historii swego kraju.

I wreszcie — zdumione oczy Europejczyka, który ledwo co przybył do tej ziemi obiecanej — dojrzą na rogu jakiejś uliczki — czerwony i dwupiętrowy autobus londyński, tak bliski sercom tych, co niedawno opuścili metropolię swej przymusowej diaspory. Słynne autobusy londyńskie, z autentycznymi numerami i napisami ...dzielnic, przez które w Londynie rzeczywiście przejeżdżały — sprowadzone zostały prosto z W. Brytanii nad te niespokojne wody, aby rozwozić po Niagara Falls i okolicy turystów żądnych tak niezwykłej atrakcji jak czerwony i dwupiętrowy autobus ze Starej Ojczyzny.

Ale — ponad wszystko — Niagara Falls otoczone są niezliczonymi kilometrami bajkowych parków. Te parki są tak olbrzymie, iż nawet przewijające się przez nie 12 milionów ludzi rocznie jakoś się gubi i nie przeszkadza sobie wzajemnie w cieniu olbrzymich klonów kanadyjskich, lub też wspomnianych już kasztanów, które — dzięki wilgotności płynącej od wodospadów — stoją bardzo długo w białym, wieczkowym okwiecie. Pod klonami, symbolami Kanady zarząd miejski Niagara Falls poustawiał nie tylko wygodne drewniane ławki, ale i rozłożyste stoły na krzyżakach, gdzie można zasiąść do wygodnego pikniku. Zdała, słyszy się huk wodospadów i czuje się na twarzy delikatny rozprysk wieczną obecną wody. Tak, w Niagara Falls, podczas morderczego kanadyjskiego lata o 40-stopniowej przeciętnej Celzjusza jest zazwyczaj przewiewnie i wilgotno.

Zawracając w drogę powrotną do dusznego Toronto i mając wciąż w zapasie widok, dla jakiego przyjechalibyśmy, po obejrzeniu miniaturowego miasteczka, oraz Magicznego Muzeum słynnego Harry Houdiniego — gdzie magicy każdej nacji i każdego odcienia skóry pokazują nam niektóre z dotychczas nieodcyfrowanych sztuk tego mistrza współczesnego czarnoksięstwa — obieramy inną drogę powrotu do domu.

Jedziemy wciąż parkami miejskimi, które jakby olbrzymią kłamrą zamykają szeroki pas ziemi, ciągnący się wzdłuż wodospadów. Na prośbę znudzonych „milusińskich“, których jest dwoje i dość nieznośnych — wstępujemy na chwilę do repliki osiedla indiańskiego. Tam to dawni władcy tej ziemi zajmują się dzisiaj rzemiosłem, przekazanym im przez wieki. Sprzedają turystom swe wyroby, czasami zadziwiająco piękne, czasami brutalnie brzydkie.

Po indiańskim osiedlu, kolej na „Kraję bajek“. Pod gołym niebem w przepięknej naturze wylania się ku nam nasz własny sen z dzieciństwa: piernikowy domek Baby Jagi, Jaś i Małgosia, królewna Śnieżka i Krasnoludki. Starzy i młodzi, poznajemy tu dobrych znajomych z

bajek Grimma i disnejowskich fantazji.

No i wreszcie, dojrzelibyśmy do chwili najbardziej uroczystej — do tej, dla której przede wszystkim przyjechalibyśmy. Oto na pożegnanie pięknego dnia pod czystym sierpniowym niebem zjeżdżamy ostro w dół nad szkarpe, z której za chwilę ujrzymy ów jeden z siedmiu cudów świata — Wodospady Niagary.

Szkarpa ta jest wysoko obudowana i nawet chyba najbardziej ztwardziały samobójca nie mógłby z niej skoczyć z powodzeniem. Nim ją jednak zbudowano, w końcu XIX wieku zdarzył się tu wypadek jedyny w swoim rodzaju. Oto mały chłopiec, przechylając się przez wówczas naturalne obramowanie przepaści nad wodospadem, potknął się i zleciał głową w dół w sam wir straszliwej „podkowy“ wodospadu. Rzecz w tym jednak, że przez swoją przygodę dokonał, doprawdy, niemal ósmego cudu świata. Wydobyło go bowiem bez jednego zadraśnięcia o kilkaset metrów poniżej.

Nad wodospadami Niagary, jak już wspomniałam, unosi się stale gęsta, prawie biała mgła. Jest to raczej może obłok, który od czasu do czasu rozdziera niespokojny wiatr. I wówczas to dopiero kaskady tych nieprawdopodobnych wód okazują się oczom turysty w całej swej okazałości. Trwa to jednak przeważnie tylko chwilę. Wiecznie obecną bowiem chmura, ukazawszy nam na chwilę zazdrośnie strzeżone cuda — zamyka się mlecznym pasmem nad spadkiem wody.

Aby zdać sobie sprawę z ogromu i dostojności wodospadów trzeba jednak wyjechać na jedną z trzech wież obserwacyjnych, wspomnianego już Seagrama czy też dwóch pozostałych z windami na powierzchni, Oneidę, lub Skylon. Są one bowiem położone wyżej od obłoku mgły i dają nam widok niezapomniany. Ze szczytów tych wież dojrzymy wreszcie nie tylko całą dostojność i ponurość samej rzeki Niagary, która stworzyła wodospady, ale i niepowtarzalną grozę samego spadku wód. Wałą one bowiem białą pianą, wiecznością, nieustannie jak przecucie wieczności. A sama rzeka Niagara toczy się od milionów lat tym samym rytmem, podobna do

TAJEMNICE PIRAMID

GRECKI historyk Herodotus, tak pisał 1400 lat temu o Egipcie: — „Myślę, że on zawsze istniał“. Fascynowała go prastara kultura tego kraju, a nade wszystkim jej szczególnie uderzający wytwór — PIRAMIDY. Urzekały atmosferą potęgi, spokoju, zamyślenia i nieprzeniknionej tajemnicy. Jedną z nich zaliczał do „siedmiu cudów świata“. A było ich wówczas jeszcze 80. Większość ich już znikła, pewna ilość pozostaje w ruinach. Ale te „sztuczne góry Egiptu“, które jeszcze wznoszą swe szczyty — napawają nadal podziwem. Ciągłe też jeszcze otacza je dziwna atmosfera tajemnicy.

Zmuszają do zastanawiania się — w jaki sposób zostały zbudowa-

ne, a nawet — jak w ogóle doszło do myśli o wznoszeniu budowli o takich kształtach? Teorii jest wiele... Jedna głosi, że jest to w związku z czcią słonecznego boga Rà, którego ziemskim wcieleniem byli faraonowie. Promienie słoneczne przebijające się przez chmury, tworzą optycznie kształt piramidy. Inną znowu teoria wywodzi piramidy rozwojowo od grobowców zwanych „mastabami“. Istotnie — „mastaby“, te najwcześniejsze grobowce władców Egiptu, były prostokątnymi platformami z cegły — wznoszonymi ponad podziemną komnatą grobową. Zadawalano się nimi przez długi okres czasu.

Lecz oto, około 2.700 lat przed Chrystusem, za panowania Josera,

żył człowiek o genialnym umyśle i niespożytej energii. Nazywał się Imhotep. Król Joser, człowiek również nieprzeciętny, uczynił Imhotepa swym zaufanym współpracownikiem. Ten postanowił wybudować Joserowi grobowiec wspanialszy i trwalszy od dotychczasowych. A nie mógłby ucieszyć swego władcy bardziej, jakimkolwiek innym darem. Bowiem, według wierzeń egipskich, życie pozagrobowe zależało od utrzymania ciała w stanie nienaruszonym, w otoczeniu bogactw doczesnych.

Wzniósł więc Imhotep dużą „mastabę“ — lecz kwadratową i z kamienia — w miejscowości Saqqara. Na tej podstawie wybudował stopniowo pięć dalszych „mastab“,

NIAGARA FALLS

apokaliptycznej bestii. Nic jej nie zmieni, i nikt jej falam nie zaradzi. Jest to rzeka spieniona w odwiecznym pośpiechu do nikąd, usiana porohami, majestatyczna, straszna. Przestrzegająca przed wszystkim co zwiemy ludzką słabością. Tak, jak ta rzeka a nie pochodne od niej wodospady musiał wyglądać świat w tym Dniu Stworzenia, kiedy powstały wody. Czasami wygląda to tak, jakby kłębowiska waty, czy też raczej śniegu rozbijały się na migotliwe cząsteczki i atomy. Huk jest przeraźliwy. I dopiero teraz, oparci o szkarpę, zdajemy sobie sprawę, że ten huk nieustanny i przytłumiony odległością niepokoił nas od początku naszej wycieczki. Ale — podobnie jak i stali mieszkańcy, nie zdawaliśmy sobie z niego sprawy. Tak jest podobno zawsze, każdy stale przebywający w Niagara Falls powie nam, że po kilku czy kilkunastu godzinach nikt już nie słyszy huku wód. Jest to bowiem zjawisko naturalne, takie samo jak biała chmura nad wodospadami, która często zazdrośnie zakrywa to wielkie dzieło Boże.

Jeżeli ktoś jest żądny jeszcze silniejszych wrażeń, może się przeje-

chać stateczkiem o wdzięcznie brzmiącej nazwie „Mglistej panienci“ — „A Maiden of Mist“, która podpływa prosto nad sam wodospad. Ale jakoś, jak zauważyliśmy, „Maiden of Mist“ nie ma wielu amatorów. Natura bowiem groźna i wyraźnie tu człowiekowi nieprzychylna, nie zachęca do takiego — chciałoby się powiedzieć — świętokradztwa. Lężej już chyba patrzeć z wyniosłości trzech wież na te tnie i masy wody, nad którymi bezustannie krążą mewy, starając się przekrzyknąć histerycznymi głosami spadek spienionych wód.

Wracamy do domu. Ale jeszcze niezupełnie. Oto podśladaliśmy obok nas na wieży wycieczkowiczów, że w drodze powrotnej można zjechać na chwilę, o kwadrans w bok — na słynną Farmę Zwierzęcą, lub też odwiedzić akwarium, gdzie codziennie śmieszne i nadzwyczaj przemyślnie stworzenia morskie — zwane po angielsku porpoises, a po polsku — ssaki morskie — porświny, dokonują niebываłych sztuczek na wodzie. Zgadzamy się więc na niemą prośbę rozanielonych twarzyczek naszych najmłodszych towarzyszy podróżni i zbaczamy z drogi.

Farma Zwierzęca to, doprawdy, przeuroczy zakątek. Coś w rodzaju zwierzyńca na wolności. Po soczystych łąkach i zagajnikach przechadzają się wolno słynne „buffaloes“ amerykańskie. Biegają oswojone sarny i dzikie, górskie kozy. Nawet drapieżne rysie, patrzą życzliwie i bez strachu z wysokości gałęzi.

W końcu zawracamy po raz wtóry do miasta Niagara Falls. I po raz wtóry obejrzałe to co się nam tak podobało przy wjeździe z rana, co nas tak „wzięło“ swą egzotyczną malowniczością straganów i zakładów rozrywkowych — wydaje się wrażenie dlatego, że mamy w oczach autentyczną niezwykłość, ogrom i dotojność wodospadów, połyskujących w nadchodzącym zmierzchu.

Do Niagara Falls powrócimy zapewne jeszcze nieraz. Wtedy może zdobędziemy się na odwagę podpłynięcia bliżej samego wodospadu „Horseshoe“, aby tam podumać w pokorze nad małością człowieka. I aby zrozumieć naszymi małymi umysłami to, co nie tylko jest wieczne i niewymierne żadną ludzką miarą, a jednocześnie i nasze własne — wielkość Stworzenia.

jedna na drugiej, każda węższa od poprzedniej. Powstała z tego tzw. „piramida schodowa“ o 6 progach. Pod nią znajdowała się komnata grobowa z licznymi odgałęzieniami. Ta właśnie piramida w Saqqara stanowiła prototyp wszystkich następnych „schodowych piramid“. W kilkadziesiąt lat potem, w miejscowości Maydum, powstała pierwsza prawdziwa piramida, z gładkimi ścianami schodzącymi się w ostry wierzchołek.

Od tej pory budowano już tylko takie piramidy, a przynajmniej o takie chodziło. Czasem władca umierał przed zakończeniem budowy. Wówczas jego następca — aby szybciej wykończyć — zwał kąt nachylenia. W wyniku tego powstawały grobowce o szczycie stępionym. Taką jest np. piramida w Dashur. Rozmiary piramid stale rosły, dochodząc do rozmiarów grobowca faraona Senefera przy drodze z Kairu do Fayum.

Największą ze wszystkich jest tam piramida drugiego władcy czwartej dynastii, Khufu, zwanego też Cheopsem. Wybudował ją w miejscowości Gizeh, 2550 lat przed Chrystusem. Wznosiła się niegdyś do wysokości 150 metrów. Ciągle jeszcze pierwszy widok piramidy Cheopsa czyni niezapomniane wrażenie.

Na wzniesienie tej piramidy zużyto prawie 3 miliony bloków, o wadze nie mniejszej od dwóch i pół tony, a często znacznie większej. Trudno pojąć w jaki sposób zdołano to wykonać, jeśli się weźmie pod uwagę, że koła nie było jeszcze w użyciu. Nie stosowano jeszcze nawet wałków drzewnych, do przetaczania ciężarów. Jak więc przy takim prymitywie potrafiiono założyć 70 m² podstawy z niedokładnością zaledwie paru centymetrów? A ściany piramidy zwrócone są w kierunku czterech stron świata z taką dokładnością, że można na tym sprawdzać kompas. Wnętrze tej piramidy przedstawia również zagadkę do tej pory niezupełnie rozwiązaną. Bowiem oprócz normalnej izby podziemnej, istnieją jeszcze dwie inne komnaty umieszczone w samej piramidzie. W izbie najwyższej położonej i opatrzonej sześć-komorową nadstrukturą, jest

granitowy sarkofag. Komnaty mają przedsiionki, a połączone są korytarzami, wielką sklepioną galerią, oraz systemem kanałów wentylacyjnych.

Jaki był cel tej skomplikowanej struktury? Różnych teorii nie brak. Wynikł z tego nawet kult „piramidologii“, po wdarciu się do wnętrza przez angielskiego pułkownika Howard-Vyse. Co prawda, nie był on pierwszym intruzem. W IX-ym wieku kalif AlMa'mum dostał się tam wywiercając dziury wokół granitowych bloków zawałających wejście. Istnieją też dane do przypuszczenia, że jeszcze w starożytności rabusie splądrowali Wielką Piramidę w Gizeh. W roku 1830-ym, płk. Howard-Vyse usunął granitowe bloki i wykonał dokładne pomiary wnętrza. Z tych pomiarów, szkocki astronom Charles Piazzi-Smyth i wydawca John Taylor wysnuli religijno-prorocze wskazania dla ludzkości. Przepowiednie te nigdy się nie sprawdzały, więc „piramidologia“ stale wysnuwają nowe. I tak, w roku 1953-im miał być koniec świata. A teraz kursuje „prorocstwo“ o zbliżaniu straszliwych zmagania z siłami zła, czyli tzw. „Wielki Amageddon“.

Konfraternie różnych okultystów są zdania, iż Wielka Piramida służyła wyłącznie celom religijno-magicznym i do ceremonii wtajemniczenia.

Natomiast prof. Ed Kunkel, z Ohio, uważa że piramida ta była centrum wielkiego systemu wodnego. Wewnątrz pracowały olbrzymie pompy hydrauliczne.

Wielu uczonych egiptologów podejrzewa, że piramidy są ciągle jeszcze niedostatecznie zbadane i mogą zawierać ukryte izby. Nie jest wykluczone, iż w niektórych znajdują się skarby większe od tych, które Lord Caernarvon wy dobył w r. 1922-im z grobowca faraona Tutankhamona. Nawiasem mówiąc, z tym faraonem wiąże się, szczególnie ładunek tajemnicy. Odnosi się to zarówno do jego życia jak i do grobowca wraz ze skarbami. Czas jego rządów to okres reakcji po wielkim fermentie myślowym. Jego poprzednikiem na tronie faraonów był Amenophis IV-ty, myśliciel i marzyciel o temperamencie bunto-

wnika. Za żonę miał piękną Neferiti, osobistość też indywidualną z nieco fanatycznym usposobieniem.

Natychmiast po wstąpieniu na tron Amenophis skasował wielobóstwo i rytualną magię związaną z czią Ammona. Wprowadził natomiast monoteizm, wiarę w jednego, słonecznego stwórcę świata, o nazwie Aton. Swe własne nazwisko zmienił na Akh-en-Aton. Po 17-tu latach Akhnaton zmarł nagle, prawdopodobnie zamordowany. Kapłani starej religii oadzili na tronie jego młodszego brata (z innej matki), który z miejsca przybrał nazwę Tut-ankh-Ammon. Symbolizowało to zwycięstwo Ammona i magii rytualnej czyli „D'Ammonizmu“. To właśnie z tego wywodzi się pojęcie i słowo „demonizm“.

Tutankhamon — oczko w głowie kapłanów — zmarł w r. 1352-gim przed Chrystusem. Grób jego został „zabezpieczony“ straszliwymi zaklęciami, ściągającymi nieszczęścia na głowy naruszcycieli pośmiertnego spokoju faraona.

W 5 miesięcy po otwarciu grobowca Tutankhamona jakiś tajemniczy owad ugryzł Lorda Caernarvon i spowodował jego śmierć w kairskim hotelu „Continental“. W momencie zgonu (o godz. 2 w nocy) światła zgasły nagle w całym Kairze. Dyrektor elektrowni, Anglik, złożył następnego dnia publiczne oświadczenie: „Stało się to z powodów naukowo niewytłumaczalnych“. Matka Lorda zmarła wkrótce potem, również z powodu podobnego ugryzienia. W r. 1929-ym jego brat popełnił samobójstwo. Inni członkowie tej ekspedycji też jakoby powymierali dziwnie szybko.

Ale uczeni egiptolodzy uważają to za zbieg okoliczności.

Dwa lata temu rozpoczęli nową serię poszukiwań, lecz metodą prześwietlania piramid. W tym celu używają aparatu zwanego „teleskopem komory iskrowej“, który utrwała na taśmie magnetycznej desę promieniowania kosmicznego.

Ziemia jest stale bombardowana promieniami z przestrzeni kosmicznej. Są one tak przenikliwe, że nawet masa piramidy zaledwie je przerzedza. Zatem w miejscach, w których znajdowałyby się izby lub korytarze, przenikałaby większa

ALEKSANDER BOBKOWSKI

pionier narciarstwa i wioślarstwa w Polsce

INTERESUJĄCY artykuł Zbigniewa Grabowskiego pt. „I nic, tylko wspomnienia“ poświęcony pamięci „Wspaniałego człowieka, narciarza i przyjaciela Aleksandra Bobkowskiego“ (Orzeł Biały, grudzień 1969 nr. 265) pragnę uzupełnić wspomnieniami o wybitnym udziale p. Aleksandra Bobkowskiego w sportach narciarskim i wioślarskim w Małopolsce, przed 1918 rokiem, w czasie gdy polscy sportowcy byli narciarzami — w zimie, a wioślarzami — w lecie! W obu tych sportach p. A. Bobkowski odgrywał przodującą rolę.

Początki sportu wioślarskiego i kajakowego datują się od 1874-go roku w Poznańskim, Małopolsce i Warszawie, a odnośne kluby w nich nie ustępowały zagranicznym pod względem doboru łodzi i kajaków. Sport narciarski zaczął się

rozвивać 20 lat później, kiedy to Henryk Sienkiewicz i dr Chramiec zdołali zainteresować nim turystów przebywających na zimowych wycieczkach w Zakopanem i przyczynili się do rozpowszechnienia twierdzenia w dziele Tacyta, że w przedhistorycznych czasach ludność Podhala używała do chodzenia po śniegu „nart“. Słowo to skutecznie wyparło w języku polskim obce słowo „ski“. Wkrótce potem powstały w Małopolsce kluby narciarskie przy istniejących wioślarskich i kajakowych. We Lwowie była Sekcja Kajakowa Akademickiego Związku Sportowego (A.Z.S.) i „Karpackie Towarzystwo Narciarzy“ (K.T.N.) oraz Sekcja Narciarska A.Z.S. W Krakowie był bogaty „Wioślarski Oddział Sokoła Krakowskiego“, zwany „Wosk“, Sekcja Wioślarska A.Z.S., Sekcja Narciarska

A.Z.S. i „Tatrzańskie Towarzystwo Narciarzy“ zwane „T.T.N.“, w którym prezesem był znany taternik, nadradca magistratu p. Janikowski, a wiceprezesem i honorowym instruktorem narciarstwa, p. Aleksander Bobkowski. Grono członków T.T.N. stanowili lekarze, inżynierowie, profesorowie i urzędnicy oraz narciarki p. Janina Janikowska (sekretarka T.T.N. i żona prezesa pani Wanda Bobkowska (siostra Aleksandra), p. Munkowa, żona inżyniera i Maryla Rosenblatt, córka lekarza.

Zorganizowano też dwie szkoły narciarstwa! „Alpejską“ prowadził p. Mariusz Zaruski (kawalerzysta, marynarz, wioślarz i narciarz w jednej osobie), późniejszy generał brygady W.P. Interesował się tą szkołą także p. Henryk Bobkowski, brat Aleksandra. Ale szkoła alpejska nie była popularna! Uczniowie jej używali długiego kija bambusowego do jazdy, jeździli w postaci skulonej w „szusie“ i przy zwrotach „łukami“, a odziani w kominiarki, szale, futrzane kurtki i dziokejki nie wyglądali zgrabnie!

„Norweską szkołę“ prowadził pan Aleksander Bobkowski po swoim powrocie z Norwegii, gdzie z powodzeniem brał udział w zawodach narciarskich i uzyskał nawet wysokie miejsce w konkursie skoków. Szkoła ta, prowadzona przy T.T.N., odznaczała się zgrabnym stylem, wymagała prostego trzymania się i harmonijnych ruchów ciała i rąk z kijkami w „kroku łyżwowym“, „łuku“, „telemarku“ i „krystianii“ wprawiając narciarza jakby w kroki tańca baletowego na śniegu. Strój norweski do nart był cały w ciemno-granatowym kolorze, czapka z daszkiem, krótka wygodna kurtka, długie wąskie spodnie, spinane przy cholewce buta „pieksem“ t.j. welnianą taśmą w kolowe desenie, zakończoną małym pomponem. Sam p. A. Bobkowski, jako instruktor, był również atrakcją! Wysoki,

TAJEMNICE PIRAMID

ilość promieni kosmicznych do podziemia piramidy. Miejsca te zostałyby wskazane zmianą deseni iskrowych na taśmie magnetycznej. Na pierwszy ogień poszła piramida Chefrena, syna Cheopsa i budowniczego Sfinksa. Umieszczono w jej podziemiu, centralnie, tę „komorę iskrową“. Przez 2 lata zespół naukowy nagrywał przenikające promienie kosmiczne ze wszystkich kierunków piramidy Chefrena. Setki zwojów nagranych taśm zaległo w chronologicznym porządku na półkach Uniwersytetu Ein Shamps w Kairze. Ze Stanów Zjednoczonych dostarczono — najnowocześniejszy — mózg elektronowy w celu interpretacji nagranych taśm. Świat naukowy oczekiwał ogłoszenia wyników z zapartym oddechem. A tu nic... cisza!

Aż wreszcie, pod naporem dziennikarskiej dociekliwości, kierownik badań, prof. dr Amr Gohed, wyznał z zażenowaniem: „Piramida urąga wszystkim znanym prawom nauki i

techniki elektronowej. Mózg elektronowy wykazał, że każde nagranie z jednego dnia jest odmienne od nagrania z dnia poprzedniego. Wszystkie nagrania jako całość dają nieskoordynowany chaos deseniowy. „To jest naukowo niemożliwe!“ — wykrzyknął z irytacją prof. Gohed.

Ale z jakiego to powodu? — napierali dziennikarze.

Prof. Gohed chwilę się zaważał, a następnie rzekł — rozkładając ręce: „Albo geometria piramidy jest straszliwie błędna, albo działa tu jakaś tajemnicza siła, której nie możemy wytłumaczyć. Nazwijcie ją, jak sami chcecie, okultyzmem, przekleństwem faraonów, magią lub czarnoksięstwem. Nic mnie to nie obchodzi! Wiem tylko, że w tej piramidzie działa jakaś siła, która stawia opór prawom nauki“.

Na tym prof. Gohed zakończył konferencję prasową...

Anntoni Szachnowski

zgrabny i przystojny blondyn, odznaczał się ujmującym wyrobieniem towarzyskim i koleżeńskim, dbał o estetyczne podchodzenie w uprawianiu sportów i uchodził za wyrocznie w sprawach narciarskich i wioślarskich. Tajniki jego systemu jazdy na nartach przenikały też do wielu, niezrzeszonych w żadne kluby, narciarzy i imponowały podkrakowskiej i góralskiej młodzieży wiejskiej. Nart dla dzieci nie można było dostać, ale przemysłna młodzież wiejska robiła je z desek lub klepek od długich beczek, „dosztukowywała“ do nich wiązanie do bucików lub... gołej stopy i „hajda“ na śnieg! Jak te dzieci zobaczyły przechodzącą grupę narciarzy wołały za p. Bobkowskim „Olek“ albo „Bobek“ i pokazywały mu swoje sztuki. Młodzież szkół średnich, przejęta duchem harcerskim, nie miała sekcji narciarskich przy drużynach „skautowych“. W naszym gimnazjum im. B. Nowodworskiego (św. Anny) pamiętam jak jeździli na nartach na „samotniaka“ starsi harcerze: Tadeusz Dzieduszycki, zwany „Tayo“, Bronisław Saloni i Włodek Stępowski, (ojciec jego był właścicielem „Pałacu pod Lipkami“ spod którego ksiądz Józef Poniatowski odbierał defiladę Krakusów w maju 1813-go roku!). W tym parku też uczyłem się jeździć na nartach w towarzystwie Włodka.

Nadeszło lato 1914-go roku i wybuchła 1-sza wojna światowa! Przerwano uprawianie narciarstwa i wioślarstwa, ale... na krótki czas! Wobec zagrożenia miasta Krakowa oblężeniem, austriacki dowódca korpusu, gen. Kuk nakazał ewakuację miasta! Magistrat krakowski, opierając się na średniowiecznym podziale mieszkańców na mających dyplomy obywatelstwa miejskiego (cives) i zwykłych mieszkańców (incolae) zarządził: „dyplomowani“ i „reklamowani“ dla potrzeb wojska, z żywnością na trzy miesiące pozostają!

Wszystkich innych mieszkańców wywieziono w głąb Austrii. Panie „dyplomowane“ i „reklamowane“ były oburzone na gen. Kuka, że zamknął szkoły i zakazał wszelkich przyjemności życia, teatrów, kin,

zabaw i zebrań. Ale nie trwało to długo. W listopadzie odepchnięto Moskali pod rzekę Nidę i Dunajec, zniesiono zakazy i Kraków powracał do prawie normalnego życia. Otwarto też szkoły T.T.N. z p. A. Bobkowskim „ocalało“ prawie w całości, WOSK — tylko częściowo, a zdziesiątkowaną Sekcję Wioślarską i Narciarską A.Z.S. podtrzymywali w istnieniu p. Stanisław Faecher i przemysł wioślarz, narciarz i poeta, profesor rysunków L. Leszko, znany z atletycznej budowy ciała i ... zlekka jękaający się, co w mowie dodawało mu szczególnego uroku. My, gimnazjaliści, pozbawieni harcerstwa znaleźliśmy pociechę w nowootwartych szkołach narciarskiej i wioślarskiej, za pozwoleniem dyrekcji gimnazjum. Było nas, niestety, tylko czterech: Fredek Reim, Józio Tędziągowski, Lolo Grabowicz i ja. Z braku nart więcej amatorów tego sportu nie było!

Mimo popularności narciarstwa, ogół ludności był mu raczej niechętny. To jest sport dla łamania nóg — mówili jedni, nie nadaje się dla kobiet — mówili inni. Prześladowano też narciarzy od wyjścia z domu. Do idącego chodnikiem narciarza podchodził policjant i mówił: „Punie! śliś pun z temi dechami na tą drogą bo jak nie, to zapisze!“ Gorzej wiodło się narciarkom. Jeżdżenie kobiet w „jodhpoorach“ lub „bryczesach“ na koniu widziano niechętnie, ale tolerowano. Natomiast jeżdżenie kobiet w spodniach na nartach ostro potępiano. W żywej pamięci ludności Krakowa zachowało się wspomnienie publicznego „skandalu“ na rynku krakowskim, gdy dwie piękności krakowskie (w tym p. Krzaklewska) ukazały na promenadzie w „jupe-culottes“. W opinii i prasie krakowskiej napiętnowano ten „wybryk“ i „żipkiłotki“ potępiono. Tuż przed wybuchem wojny napiętnowano też narciarki, na szczęście, bez wymieniania nazwisk, za jeżdżenie w spodniach. Nie należy więc dziwić się, że narciarki, ubrane w długie spódnice na spodniach, nadjeżdżały „fiakrami“ (dorożki) i wyruszały z nami w spódnicach na nartach do śródmieścia Błoń, po czym, zdala od widzów, zdejmowały spódnice i przywiązywały nam, studentom, z tyłu

B.D.K. Gryf Publications Ltd

STEFAN KORBOŃSKI

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

15 opowiadań, których tłem jest druga wojna światowa. Niezwykłe czasy, niezwykli ludzie nadają tej książce niezwykły koloryt i czynią z niej niezapomnianą lekturę.

Cena 18s., 2.50 dol.

Skład Główny: KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

do pasów, w zrolowanej formie. Czuliśmy się tym obrażeni w naszej „męskiej godności“ 14-to i 15-to letnich młodzieńców! Te „babskie kiecki“ stawały się co roku krótsze, góralki wymyśliły dla siebie „mini-kiecki“, noszone na spodniach góralskich z parzenicami (ich braci), potem były tylko krótkie falbanki przy damskim pasku i pod koniec wojny, kiecki — znikły.

W Krakowie, niedzielne wycieczki narciarskie T.T.N. — na Bielanym, przeplatane ćwiczeniami w zwrotach i krótkimi „szusami“, obfitowały w różne przygody na falach dobrego humoru i były nad wyraz miłe! Ale nadzieja spędzenia tygodnia zimowych wakacji w Zakopanem zaprzętała nasze umysły.

Na wyjazd z twierdzy — potrzebna była przepustka! W tej sprawie „panem życia i śmierci“ był nie gen. Kuk, ale urzędujący w kolumnie miasta chorąży 13-go pułku piechoty, dr Michał Grażyński „zapalony“ narciarz, zatem nie było wypadku odmowy! Po wigilii 1914 roku, zebrał się cały T.T.N. w przedziałach wagonów pociągu, aby w 10 godzin potem dojechać do Zakopanego. Na odjeździe, w wesółych humorach, zaśpiewaliśmy „Hymn narciarski“ układu prof. Leszko na nutę arcypopularnej włoskiej piosenki „Torna a Surrieto (Sorento) „Wróć do Sorento“:

Przeszła jesień, przyszła zima, nie narciarza nie utrzyma
 W ciepłym domku przy kominie, choćby nawet przy dziewczynie
 Sprzeda co ma do sprzedania, niepotrzebną część ubrania,
 Idzie handel nie na żarty — narciarz musi kupić narty!
 Sprzedał odzież u Gajera, kupił narty u Drobnera
 Oszukała go cholera, lecz na nogi je ubiera
 I zaczyna ćwiczyć srodze „zwrot alpejski“ na ... podłodze,
 Potem horyzonty szersze ... na stół zrobił wyjście pierwsze,
 By wycieczkę skończyć górnice ... wlaź na szafę jak na turnię
 Skąd najkrótszą obrał drogę, skacze w nartach na ... podłogę!
 Trochę jętko, trochę stętko, lecz w narciarzu nic nie pękło
 I tym sukcesem zachwycony — ryzykuje krok szalony:
 Przez trzeciego piętra schody „szusem“ jedzie do zagrody,
 Na zakrętach robi „Łuki“ albo „Telemarka“ sztuki!
 Gdy tak wściekle rozpęd bierze — strzaskał narty na parterze!
 Trzask — prask! Narty połamane! Narciarz głową zmacał ścianę!

W Zakopanem, A.Z.S. stawał kwarterą w „Warszawiance“ p. Przanowskiego, a nasz T.T.N., „Pod Giewontem“ u p. Karpowicza. Zaczynaliśmy nasze wycieczki od „Kala-tówek“, a potem na szlakach doliny Strążyskiej — Zawrotu — Halę Gąsienicowej lub Goryczkowej. P. A. Bobkowski wymagał od narciarzy planowania z góry sposobów zjazdu w dokładnej ilości „łuków“, „krystianii“ i „telemarków“. Dla narciarek był bardziej pobłażliwy! Wracaliśmy z tych wycieczek zmęczeni, ale w dobrych humorach, by zasiąść wieczorem do wspólnego obiadu z udziałem zaproszonych gości ze świata naukowego, artystycznego lub literackiego z poetą p. Włodzimierzem Tetmajerem na czele. Z zaciekawieniem słuchaliśmy też opowiadania o krajach tropikalnych lekarza-podróżnika dra Wachtla! Niestety, nam, studentom wypadało oddalić się do naszego pokoju przed godziną 9-tą wieczór, aby zostawić starszym czas na swobodną rozmowę. Wracaliśmy z tych zakopiańskich wycieczek, przez 3 kolejne lata, z żalem w sercu do Krakowa i... do szkoły. Odbywaliśmy nadal w Krakowie wycieczki narciarskie w niedzielę, jak długo starczyło śniegu!

Co roku, w dniu 15-go kwietnia, zbieraliśmy się na wiosłarskiej przystani WOSKu, aby przemienić się z narciarzy w „wet hobs“, jako to w Oxfordzkim Uniwersytecie nazywają wiosłarzy i rozpocząć letni sezon.

Na przystaniach witał nas p. A. Bobkowski i prof. Leszko w „Adamowym stroju“ (jeżeli nie uwzględnić jego męskiego bi-ki-ni). Mło-

dzieży było też więcej, niż w narciarskich klubach. „Mieli gitary, mandoliny i bałajkę oraz młodą narciarkę-wioślarke, pannę Popielankę. Sport wiosłarski mogliśmy uprawiać codziennie po południu oraz w niedziele i święta. Trasa wiosłarska wiodła w górę Wisły do Bielania, Tyńca, Tenczynka, a nawet Oświęcimia (56 km). Wycieczkę każdej łodzi i skład załogi dokładnie notowano w „Logbooku“, co było potrzebne i do awansu! Wioślarz zaczynał naukę od „patałacha“, po nauczaniu się wiosłowania, na jedno i dwa wiosła, zostawał wiosłarzem 3-ciej klasy, po przejechaniu 500 km, 2-giej klasy, a po 1,000 km — 1-szej klasy. Po upływie wielu lat i wyczynach wiosłarskich zostawał „sternikiem“. Starszy sternik p. A. Bobkowski, kierował wyшкоleniem. Wszystkie łodzie obu klubów brały udział w uroczystości „Wianków“ każdego roku, w dniu 24-go czerwca. Z inicjatywy naszego gospodarza przystani WOSKu, p. Rudego, urządzono zawody wiosłarskie WOSK — A.Z.S. w lecie 1917-go roku. Prasa krakowska nadała temu rozgłosu, przybyło tysiące publiczności, a prof. Leszko uwiecznił te zawody w wierszowanej „Epopei Wiosłarskiej“:

„Wstał Ojciec Rudy i wiosłarzy woła,
 by urządzić zawody i pobić Sokoła.
 Wciąż łodzie opatruje, z wiosłami się
 biedzi,
 Ten na sterze pojedzie — ów na strocku
 siedzi!

Po lewym brzegu Wisły, na obu sąsiadujących przystaniach, zebrała się krakowska „śmietanka“ mająca jako gości honorowych żołnie-

rzy tureckich, będących w leczeniu w szpitalu wojskowym pod nadzorem tureckiego bimbashi (majora). Na prawym, dębnickim, brzegu, gdzie nie pobierano wstępów, usadowili się andrusi! W ostatniej chwili przed zawodami powiedział nam p. Bobkowski, że przeciwnikiem naszej szóstki juniorów będzie ósemka pań! Dotknęło nas to niemiło, bo współzawodniczyć z kobietami w zawodach uważano za rzecz poniżającą! „Mam nadzieję, że zachowacie się chłopcy — jak gentlemen!“ — dodał p. Bobkowski. My, urażeni w naszej „męskości“ zaprzysięgliśmy zemstę.

Treback zagrał fanfarę. Rozpoczęto zawody. Na początku ruszyły „jedyńki“ na skeefach i skulach, po czym czwórki seniorów:

„Rudy, Karwat, Boniecki, Gebethner (i Spółka)
 Mijają szybko brzegi — łódź mknie jak jaskółka!“

Przyszła i na naszą szóstkę kolej, podchodzimy do startu, pada komenda „wiosła w płask!“! Na ósemce sunie osiem dorodnych wiosłarek 1-szej klasy. Na przystani ośmiu narzeczonych z tłumem publiczności życzy im zwycięstwa. Nasza szóstka, pała zemstą. Musimy pobić, te miłe skądinąd „baby“! Padła komenda „Gotów“, huknął strzał. Obie łodzie ruszyły naprzód!

„Ósemka Pań wyjeżdża — plemię to jest słabe,
 Lecz gdzie diabeł nie może tam posyja ... babę!
 Na prawym brzegu tłumy „wytwornej“ publiki
 Piorą w łódź kamieniami wznosząc
 dzikie krzyki!

W zapale wiosłowania wzięliśmy tę ósemkę o dwie długości łodzi, ale rozentuzjamentowana publiczność (i narzeczonych wiosłarek) powitali kobiety jak zwycięzców, a nas... zupełnie zignorowano. Pan A. Bobkowski zganił nas w słowach: „Choć w zawodach nie robi się względów, mogliście chłopcy zrobić gest i puścić panie jako pierwsze! Kurtuazja względem kobiet jest kardynalną cechą Polaków. My wiedzieliśmy z góry, że wy silniejsi musicie wygrać bieg! Poza tym lu-

POETA ŻYCIA

SPOTKALIŚMY się chyba w roku 1912, na wykładach prof. Lanson'a w Sorbonie, obaj „wchłaniając“ literaturę francuską, Z. Zaleski dla zdobycia dyplomu *dès Hautes Etudes Sociales*, a ja pracując nad „tezą“ o autorze XVIII w. M. Sedaine, by na jej podstawie uzyskać doktorat Sorbony. I przez 2 lata spotykaliśmy się często, nie tylko wskutek wspólnych zamiowań, ale również z powodu mego podziwu i uznania dla literackiego talentu oraz pracowitości przyszłego naukowca. Rozdzieliła nas wojna 1914 roku, która mnie zagnała aż do Kazania, gdy Z. L. Zaleski, pozostawszy w Paryżu, organizował

*) Zygmunt L. Zaleski „Wiersze zebrane“ (1924-1967), wydane Aix en Provence, ozdobione drzeworytami F. Prochaski. In quarto, stron 80.

i wznagał polskie życie naukowe. Dowiedziałem się o tym po latach mej dyplomatycznej tułaczki, która podczas drugiej wojny światowej sprowadziła mnie do Londynu.

Dowiedziałem się wówczas, że Zygmunt L. Zaleski nie stracił czasu między wojnami. W 1915 roku powołał do życia wykłady o Polsce w *Szkole studiów społecznych*, od 1916-go do 1920 roku wykładał język i literaturę polską w *Wyższej Szkole języków wschodnich*, a przez dalsze lat 10 literaturę polską w *Institut slave*, zaś od 1932 do 1939 roku — literaturę polską w tzw. *Cours libres* w Sorbonie. Od 1925 r. był delegatem polskiego ministerstwa oświaty do spraw naukowych we Francji, co dało mu tytuł do wzmoczenia działalności nad rozpowszechnieniem kultury polskiej na obczyźnie!

ALEKSANDER BOBKOWSKI

dzie chcą czasem widzieć w danym układzie faktów inny wynik — aniżeli prawdę“. Było nam przykro, bo były to prawie ostatnie nasze chwile na łodzi. Tragiczna sytuacja polityczna w 1917-tym roku, pobór do wojska austriackiego, oraz konieczność dostania się do szkół wojskowych, aby uniknąć bicia się o obce interesy, zaprzętała nasze umysły. Dostałem się, przez protekcję i szczęście do wymarzonej broni, w wyborowym 7-mym pułku artylerii konnej. Na 8 miejsc dla „jednorożnych“ było nas siedmiu Polaków i... jeden Austriak! Szkoła trwała 10 miesięcy!

A gdy po prawie 4-ach latach wojaczki — w wolnej już i niepodległej Polsce — zebraliśmy się, niestety, nie wszyscy, w Zakopanem, na zimowej wycieczce T.T.N., tyśiące narciarzy uwijało się po stokach górskich, a p. Aleksander Bobkowski, z p. Faecherem zajmowali czołowe stanowiska w ogólnopolskim sporcie narciarskim. Zakwitł w całej pełni i sport wioślarski.

WOSK i A.Z.S. roili się od nowego narybku. Kraków miał nową sensację: prof. Leszko brał ślub na przystani Panna młoda, wioślarka-narciarka, marzyła o welonie, białej sukni, prezentach, przyjęciu gości i o zacisznym sam-na-sam! Pan młody zarządził ślub w kostiumach wioślarskich, potem na wiośle do Tyńca, z powrotem pływaniem do Krakowa (10 km), następnie rowerami do Zakopanego i spinaczka na Giewont z postojem w schronisku na Hali Gąsienicowej. Ruszyły kwiatami ubrane łodzie, zabrano gitary mandoliny i harmonie. — Leszko z małżonką na wiośle! W Tyńcu śniadanie przy muzyce. W drodze powrotnej małżonkowie pływają. Pod Bielanami młoda pani woła: „Lechu! Ja już nie mogę!“ „Pły-pły-pły-waj d-d-dalej ko-ko-chanie!“ „Lechu! ja się topię!“ „T-t-o u-u-top się ko-ko-kochanie! Panna młoda zgniewała się, wsiadła do łodzi i... uciekła do mamy! Pogodzili się w schronisku na Gąsienicowej.

Mieczysław Budek

Druga wojna światowa zastała Z. L. Zaleskiego w Polsce, gdzie był żołnierzem-ochotnikiem aż do klęski Polski, po czym — wiedząc, że może przydać się we Francji, na piechotę, via Budapeszt, dostał się do Paryża. I znów nie założył rąk bezczynnie. Dzięki niemu powstało polskie liceum w Villard de Lans, którego był kierownikiem, a w 1941 r. rząd polski w Londynie powołał go na prezesa *Polskiego Czerwonego Krzyża* we Francji, co obok opieki nad coraz wzmagającą się falą emigracji, dało mu w ręce sieć tajnej organizacji przeciw niemieckiemu okupantowi. Wiedzieli o tym dobrze Niemcy i dlatego aresztowali go 18-go marca 1943 roku. Lecz — trzeba to podkreślić — mimo brutalnego badania i fizycznych tortur, aż do odbicia mu jednego oka — Niemcy nie wydobyli z Zygmunta L. Zaleskiego ani jednego szczegółu, ani jakiegokolwiek nazwiska z zaangażowanych w podziemnym ruchu oporu. Wysłali go więc do obozu w Buchenwaldzie, gdzie przebył dwa lata, do przegranej Niemiec, w maju 1945 roku.

To szczytowe bohaterstwo Z. L. Zaleskiego ocenili Polacy i Francuzi, pierwsi — nadając mu Złoty Krzyż Zasługi z mieczami i *Komandorię Polonii Restituta* — drudzy, mianując go *Grand officier de la Legion d'Honneur, à titre militaire* — jak też wręczając *Croix de guerre*!!

Lecz ani cierpienia fizyczne, ani dowody uznania, niezmieniły charakteru Z. L. Zaleskiego, ani jego przywiązania do zagadnień literackich. Po wojnie, wykłada on dalej literaturę polską, tym razem w organizacji P.U.N.O. oraz w *Instytucie katolickim* w Paryżu, co więcej — jest jednym z założycieli i stałym wiceprezesem *Międzynarodowej Akademii Nauki i Literatury*, a w roku 1946-ym zostaje członkiem *de l'Académie des sciences morales et politiques*, stając się tym samym *Membre corespondent de l'Institut de France*. Wreszcie — od 1946 ro-

ku jest stałym i dozgonnym prezesem Polskiego Związku b. Deportowanych.

Przy tym Z. L. Zaleski, nie uchylając się od coraz liczniejszych obowiązków o charakterze organizacyjno-społecznym, ma czas na przyjazdy do Londynu, zawsze z oryginalnym i aktualnym wykładem literackim i nie odmawia udziału, jako członek „Związku Pisarzy na Obczyźnie“, od wzbogacania ich serii tzw. *Żywych*, interesującymi studiami o Krasińskim, Norwidzie, Wyspiańskim, Sienkiewiczu...

* * *

Ale wszystko co powyżej, nie wyczerpuje twórczej działalności Zygmunta L. Zaleskiego. Nie przyznając się nawet kolegom po piórze, miał on chwile poetyckiej zadumy, a podczas wojny, uciekał od przeżyć w Buchenwaldzie myślą, wspomnieniami, i uczuciem w ... poezję, ubierając ją w rymy i rytmy... Tak powstał tom wierszy, szczególnie zebranych i wydanych ozdobnie przez jego żonę, jako rzadkość bibliofilską, bo tylko w 110 egzemplarzach. We własnym wstępie Z. L. Z. pisze o nich: „Rozpierzchnięte raczej niż rozproszone, wracają (...) te małe rozświegotane ptaki napiętych nieraz jak cięciwa łuku wyrzuteń czy zwierzeń tajonych“. Te wiersze są jakby wtórem działalności uczonego i działacza, który umiał swoje życie upiększyć poezją, czyniąc z niej tło swego istnienia...

Bywają bowiem u Zygmunta Lubicz-Zaleskiego chwile wewnętrznego, młodzieńczego niepokoju, którym daje wyraz:

O moja duszo słoneczna i mocna,
Na jakich wirkach stania się Twój
...cień?
Gdy wieczność spała burze moich żądz
W strzępy ogniste wartkie moce rwąc!

Nad wodą senną pochylony drzę
I w ciszę wplatom twój rytm
niespokojny
W ciszy płomiennej niewygasłe zorze
Wszystko pochłonie senne, groźne
morze...

Ale wybuch wojny 1939 roku wywołuje u niego akcenty mocne, mi-

mo świadomości zła, jakie ona niesie.

* * *

...Oto się płomienią czasy
Huk dział, turkot samolotów
Żarzące domy stolicy...
Rumowiska zle ulicy...

O wojno!

Idą, idą, idą szeregowi
Żołnierze, bracia kochani,
Idą przez złą śmierć wołani...

I jest w Wierszach zebranych seria wrażeń i wspomnień z obozu w Buchenwaldzie!

Dla grozy przeżyć warto kilka z nich zacytować np. ustęp wiersza o ironicznym tytule:

„Sen majowy w Buchenwaldzie“

Pawilon dziesiąty,
Cela dwudziestadziwiąta,
Poznaję wszystkie kąty...
Z każdego kąta
Wielka ludzka twarz
Pustymi patrzy oczyma.
Krwia oblepione włosy
Ktoś niewidzialny trzyma!
Krzyk w niebogłosy
Boże! Obraz zmaż!

Albo inne wrażenie, zatytułowane „Błok 41“, czterowersowe, ale jak przejmujące:

Głód, smród i tyfus plamisty...
Słychać jęki i miarowe świsty.
Kogoś biją, batożą
Za wolą ludzką i bożą...

* * *

„Wiersze zebrane“ mają część drugą, bezpośrednio osobistą, bo skierowaną do jego żony, z czasów narzeczeństwa, szczęśliwej miłości, oraz tragedii tęsknoty z Buchenwaldu i wreszcie radości powrotu nie tylko do domu, ale i rodzinnego szczęścia:

Marysieczko kochana,
Znowu jesteśmy razem
Od rana do wieczora
I od wieczora do rana!

Po tylu latach okrutnych
I tylu strasznych koszmarach
Użycz spokoju o Boże,
I oszczędź również dni smutnych

Żarła nas straszna tęsknota,
Ból serca nasze rozrywał
I tylko wiary nie złota
Trzymała duszę w pokorze!

Niestety, nieoczekiwana i przedwczesna śmierć przerwała powrotnie lata szczęścia, które były nagrodą za lata okrutne...

Ale życie Zygmunta L. Zaleskiego wypełniło się do końca. Świadczy o tym choćby wiersz wspominający jego młodzieńczy pobyt w Cytadeli warszawskiej i niejako przysięgę złożoną Trauguttowi:

Na stokach Cytadeli
Widma ciche, srebrzyste
Lecą błękitne, w bieli,
Duchy zbawione, czyste...

Traugutta wielki cień
Skinął łaskawie:
Parobku wierny, służ!
W zaciszu (przyszłych) burz
W noc i w dzień
Służ sprawie!!!

Zygmunt Lubicz-Zaleski swoim życiem dopełnił wezwania, które przejął od Traugutta: „służył sprawie“.

Władysław Günther

DZIAŁANIA 2 KORPUSU WE WŁOSZECH

Tom I.

z przedmową
gen. Władysława Andersa,
pod redakcją
plk. dypl. dr S. Biegańskiego

Str. 664.

Wykazy, indeksy, szkice.
Oprawa płócienna.

Cena: 63/-.

Koszt przesyłki 4/6.

Należy zamawiać:

w Księgarni S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORŁA BIAŁEGO“

WEDLE znanego określenia Szekspira teatr jest „obrazem życia“. Jest to określenie trafne, gdyż twórczość autorów scenicznych jest wyrazem przeszłej lub współczesnej epoki, którą odtwarzają i która dzięki nim ujawnia się albo utrwała w świadomości widza. Rzecz przy tym charakterystyczna, że udział w tym „obrazie życia“, jego realizacja na scenie czyli aktorstwo, posiada przyciągający magnes, może większy od innych rodzajów sztuki, np. muzyki czy malarstwa, pomimo wymagania większego trudu i poświęcenia. Dzieje się to pod wpływem jakby mistycznego uroku sceny, na której objawia się sztuka aktora, może wskutek ponęty natychmiastowych oklasków jej odbiorców, jak też poczucia uosobienia postaci poetyckich czy historycznych, odmiennych od zwyczajnego tłumu i tym samym wyrwania się z własnego szarego życia w dziedzinę poezji lub bohaterstwa!

W każdym razie, wielu młodych tzw. „adeptów scenicznych“ często ucieka ze szkoły i rodzinnego domu, by borykać się z trudnościami jakich wymaga od nich opanowanie aktorskiego kunsztu i to w warunkach dosłownej nędzy, która np. w Polsce, jeszcze do końca zeszłej wojny towarzyszyła każdemu śmiałkowi, który dał się porwać miłości teatru.

Ciekawym i wiernym przykładem tych ciężkich początków „aktorstwa“ jest pamiętnik znanego artysty dramatycznego Wiktora Biegańskiego, będący jednocześnie historią dziejów sceny lwowskiej i krakowskiej z lat przedwojennych.*) Lecz historia tych scen jest znana z wielu innych wspomnień ówczesnych „ludzi teatru“, pragnę więc przede wszystkim zająć się różnicą między bezinteresownym zapalem dawnych młodych aktorów, a ustabilizowaną sytuacją dzisiejszych — nie mówiąc o filmowcach — często lepiej płat-

nych od najwyższych dostojników państwowych.

Przeżycia Wiktora Biegańskiego są pod tym względem charakterystyczne. Syn skromnego urzędnika kolejowego w Krakowie, urodzony w listopadzie 1892 roku, miał szczęście czy nieszczęście zaprzyjaźnienia się w gimnazjum św. Jacka z Romanem Senowskim, synem znanej pary aktorskiej teatru krakowskiego. Matka Romka, głośna dzięki roli Rollisonowej w *Dziadach*, z matczynej miłości często wpuszczała obu kilkunastoletków do loży aktorskiej, dzięki czemu Biegański bywał na wszystkich premierach, zachwycając się ich wykonawcami i w tajemnicy przed rodzicami zapisał się do Szkoły Dramatycznej, prowadzonej przez doskonałego aktora i pedagoga, M. Przybyłowicza, który zainteresowawszy się 14-letnim, zapalonym miłośnikiem teatru, nauczył go dykcji i ustawił mu głos. Po roku, Biegański dowiedziawszy się, że Andrzej Mielewski, słynny Konrad z *Dziadów*, poszukuje kilku gimnazjalistów na objazd Galicji ze sztuką Kaweckiego pt. *Szkola*, porzucił własne gimnazjum i matkę we łzach. Ojciec oburzony nie chciał go widzieć. Mielewski obiecał mu gażę w wysokości 60 koron miesięcznie, mającą mu wystarczyć na życie i mieszkanie, które zazwyczaj było pokojem o jednym łóżku, dzielonym, jak i bochenek chleba, ze swym przyjacielem J. Szkudelskim. Czasem było gorzej, jak np. w Żółkwi, gdzie w siarczysty mróz spędził noc w nieopalonej poczekalni kolejowej.

Po Mielewskim Biegański pracował z innymi dyrektorami prowincjonalnymi: Poleńskim i Czermańskim, zawsze na tych samych głodowych warunkach. Reżyserujący u Czermańskiego aktor lwowski Kwiatkiewicz zauważył atrakcyjną aparycję i dobrą dykcję Biegańskiego i pewnego dnia zwrócił się doń: „Pana szkoda dla takiej tułaczki, gdzie Pana zmarnują“ i obiecał polecić go ówczesnemu dyrektorowi teatru lwowskiego L. Hellerowi. Był to uśmiech losu. Heller przyrzekł bo-

wiem, że go wezwie do odpowiedniej dlań roli „młodego amanta“ — pod warunkiem, że z każdego „miejsca postoju“ przyśle mu swój adres.

Lecz los nie zawsze się uśmiecha: podczas pobytu zespołu Kalinowskiego w Borszczowie, teatr musiał poddać się oficjalnej żałobie na skutek śmierci namiestnika Galicji hr. Potockiego, zamordowanego przez ukraińskiego nacjonalistę dnia 12 kwietnia 1908 roku, i odwołać swe przedstawienia na przeciąg 3-ch dni. Były to dnie tragiczne, bo dyr. Kalinowski, po zadatkowaniu sali nie miał grosza i nie mógł wypłacić pieniędzy należnych zespołowi, z którego jedynie aktorka Adela Kolman posiadała... 3 korony!!! Przez 3 dni zespół 18 osób wydawał po 1 koronie dziennie na 3 bochenki chleba i 1 kg. bryndzy — czym obdzielał się lojalnie. Biegański w Borszczowie nie miał nawet 5 halerzy by przesłać swój adres Hellerowi, który właśnie czekał na niego z rolą Walerego w *Świętoszku* Moliera! Dopiero kilka przedstawień *Kupca weneckiego* z gościnnym występem G. Fiszerą i wypłata zaległej gaży, pozwoliły Biegańskiemu wyjechać do Lwowa, gdzie Heller i Kwiatkiewicz zmyli mu głowę za niedotrzymanie zobowiązań. Ledwo ugłaskany Heller, po zapoznaniu się z sytuacją Biegańskiego, obiecał mu **engagement** od nowego sezonu, tj. od września. A był to kwiecień!!! Więc Biegański wrócił do zespołu Czermańskiego, by przeżyć w Tarnobrzegu zupełną klępkę teatru, tj. zamiast gaży otrzymać razem z całym zespołem jedynie radę ucieczki nocą z żydowskiego zajazdu na stację kolei i utajony wyjazd. Jednak na stacji zespół, dogoniła policja, wobec której Czermański zobowiązał się z najbliższych przedstawień w mieście dokąd jego zespół jedzie, wypłacić wszystkie swoje długi. W tych warunkach Biegański opuścił Czermańskiego udając się do Rabki pod opiekę skrzydła matki, która latem prowadziła dochodową stołówkę.

Aż wreszcie nadszedł dzień 1-go września 1908 roku i Biegański, ma-

*) Wiktor Biegański: *Remanent życia starego aktora*. Warszawa, 1970, stron 328. „Wydawnictwo artystyczne i filmowe“ z ilustracjami.

jący wówczas lat 16, stanął przed obliczem L. Hellera, który dotrzymał obietnicy i zaangażował go, ale na prowincjonalną gażę, tj. 60 koron miesięcznie. Było więc po dawnemu ledwo za co żyć i mieć pokój z łóżkiem, które dzielił z innym lokatorem. Ale był w prawdziwym teatrze! Artystycznym kierownikiem lwowskiego teatru był wówczas Tadeusz Pawlikowski, twórca polskiego teatru, przedtem w Krakowie, a później we Lwowie, wyczuwający nurty kulturalne innych stolic europejskich i dokładający własne pieniądze z rodzinnej, magnackiej Medyki, dla wzbogacenia sztuk przez niego wystawianych. Praca w ówczesnym teatrze była ciężką orką. Sztuki, nawet najtrudniejsze, szły po 7-miu próbach — stąd trudność opanowania ról. Drugim reżyserem był Jan Nowacki, który w ciągu 6 lat grał 180 (sto osiemdziesiąt) ról. Biegański podkreśla, że jako reżyser, Nowacki, podobnie jak Pawlikowski, odznaczał się „rygorystycznym stosunkiem do autora“, poszanowaniem jego myśli i stworzeniem jego postaciom najodpowiedniejszej, trafnej pod każdym względem, obsady. Biegański podziwiał, a czasem i grywał jako partner świetnych aktorów, jak Fiszer, Żelazowski, Feldman, który za Pawlikowskiego grał 179 ról, Fr. Wysocznego, który od 1903-1906 grał 139 ról, Adwentowicza, a dzięki gościnnym występom: Solskiego, Kamińskiego itd. A w ogóle w latach 1900-1906, teatr lwowski razem z utworami dramatycznymi, operą i operetką, dał 2.411 przedstawień. Przy czym sztuki szły 3 do 6 przedstawień! „Mieszczanie“ Gorkiego, uznani za szczyt powodzenia teatru, miały 24 przedstawienia w ciągu trzech lat!!!

I w ogóle ciężkie było życie aktora. „Próby odbywały się od 9-ej rano do 13-ej. obiad w domu, albo ‘śledź z bombą piwa w jakimś ‘pokoju śniadankowym’. Po obiedzie drzemka, po niej staranne przeczytanie roli, jaką się gra dzisiaj wieczoru, bo skok repertuaru wymagają ciągłego przypominania tekstu, pomimo czujności suflera. A w wolnych chwilach, nawet w czasie bieżącego przedstawienia, nauka nowej roli... I tak biegają dni, tygodnie, miesiące i lata...“

Powodem, który zatrzymywał wielkich aktorów na scenie lwowskiej było nie tylko życie się ze Lwowem, ale doroczny, ustalony tradycją, wyjazd całego lwowskiego zespołu na lipiec i sierpień do Krynicy. Tam były i leki opłacał teatr, a przy tym nie trzeba było uczyć się nowych ról, bo grywano na ogół sztuki z minionego sezonu. Chyba, że któryś z aktorów „wyłamał się“ pragnąc zupełnego wypoczynku. Wówczas zastępował go młodszy aktor np. Biegański, który podczas sezonu krynickiego musiał nauczyć się 180 arkuszy ról i grywał po jednej próbie. Ale widocznie podolał temu zadaniu, bo po powrocie do Lwowa, Heller, z własnej inicjatywy, zaproponował mu gażę 140 koron miesięcznie, zobowiązując go, że sprawi sobie tzw. „garderobę“ — to znaczy frak, smoking, żakiet etc., w których będzie mógł grywać „eleganckich panów“.

Aktorzy obarczeni rodziną, jak np. Ratschka-Sowiński umiejący pisać kaligraficznie, pomagali sobie rozpisywaniem ról z egzemplarza, czasem jedynego w posiadaniu dyrekcji. Za przepisany arkusz otrzymywali 20 centów, co dawało czasem za rozpisanie ról całej sztuki 30 koron! Była to wielka dodatkowa praca i stosunkowo niewielkie wzmoczenie sytuacji życiowej!

Aż aktorzy postanowili się bronić. Hasło do ustalenia norm prawnych, obowiązujących dyrekcję wobec aktorów, dał Kraków, który powołał do życia, w grudniu 1910 roku, „Związek artystek i artystów polskich“ i wystąpił z memoriałem do Rady Miejskiej z prośbą o rozpatrzenie sprawy, że otrzymują oni pełną gażę przez 10 miesięcy sezonu, a podczas przymusowego urlopu w lipcu i sierpniu Dyrekcja wypłaca im tylko połowę gaży, przy czym wobec braku przedstawień, pozbawieni są tzw. honoracji czyli feu!!! Drugim ważnym punktem memoriału był obowiązek artystek opłacania z własnych pieniędzy ich scenicznych kostiumów, które mężczyznom dawał teatr. Memoriał ten wywołał uznanie ministerstwa oświaty we Wiedniu, ale protest dyr. Solskiego. Pomimo to powstał też we Lwowie, dnia 20 maja 1911 roku „Związek Artystów teatru lwowskiego“, któ-

ry wysunął podobne żądania. Ale zrealizował je, zwłaszcza sprawę kostiumów teatralnych artystek, dopiero w 10 lat później, w wolnej Polsce, „Związek Artystów Scen Polskich“!

W sezonie następnym, w sierpniu 1914 r., dyr. Solski, świadomy pracowitości Biegańskiego, zaangażował go do Krakowa. Ponieważ ojciec mu wybaczył opuszczenie szkoły, a matka chętnie go przygarneła, zamieszkał z rodzicami. Kraków wystawiał premierę co tydzień, czyli 40 premier rocznie! Reżyserowali je Sosnowski, Maks. Węgrzyn, Jednowski, no i sam Solski, tytan pracy, który wystawił prawie wszystkie utwory Wyspiańskiego, przy czym generalna próba „Leg’onu“, w którym postać Mickiewicza kreował sam Solski, trwała od 4-ej popołudniu do 5-ej rano następnego dnia. Wsławił się w Legionie młody Józef Węgrzyn jako Rapsod, który powtarzał tę rolę w Teatrze Narodowym w Warszawie, w inscenizacji Em. Chaberskiego i znakomitego dekoratora W. Drabika.

Otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie przez Arnolda Szyfmana i wyciągnięcie przezeń Solskiemu kilku pierwszorzędných aktorów, zniechęciło Solskiego do Krakowa, tak, że przeniósł do Warszawy, do Teatru Narodowego. Zresztą stracił był cały swój finansowy dorobek, który uciulał przez 7 lat swej niezmorewanej i twórczej pracy.

Czyli teatr, choć wabi i wiąże — nie nagradza. Twórczość aktora, mimo obecnych filmów i rekordów, w rzeczywistości trwa tylko przez chwilę swego istnienia na scenie. Tym bardziej należy szanować i uznawać pracę aktora, wymagającą obok talentu, specjalnego kunsztu słowa, jak też fizycznego wysiłku!

I należy podziwiać teatr polski z okresu przedwojennego, że pomimo trudnych warunków finansowych, a wyjątkowych z narodowego punktu widzenia, równał się w swym artyzmie z teatrami wielkich stolic, których aktorzy mieli o tyle szczęśliwsze i spokojniejsze warunki twórczości.

W KSIĘGARNI SPK
KUPI SZ KAŻDĄ
K S I A Ż K E !

ŚWIATOWY ZJAZD DELEGATÓW Z.H.P.

W Londynie w dniach 28 do 31 sierpnia 1970 roku odbywał się Zjazd Z.H.P., na który przybyło 109 delegatów i delegatek ze wszystkich kontynentów.

Zjazd otworzył przewodniczący Z.H.P. Ryszard Kaczorowski, witając gości i delegatów na Zjazd z amb. Raczyńskim i gen. Kopańskim na czele.

Po uczczeniu pamięci gen. Władysława Andersa i zmarłych kierowników pracy, Ryszard Kaczorowski mówił o dorobku pracy harcerskiej, szczególnie podkreślił wielkie osiągnięcie, jakim było zorganizowanie Złotu na Monte Cassino.

W imieniu SPK i organizacji kombatanckich Zjazd witał gen. Karol Ziemiński, który podkreślił znaczenie pracy harcerskiej dla życia emigracji oraz zapewnił zebranych, że w dalszym ciągu harcerstwo może liczyć na pełne poparcie wszystkich ogniw organizacyjnych SPK, a nawiązując do chlubnych oddziałów harcerskich z powstania warszawskiego oraz zesterocznich uroczystości na Monte Cassino, gdzie harcerstwo przejęło tradycję walki o wolność, wyraził wiarę, że coraz liczniej będą zasilać szeregi emigracji niepodległościowej przez wychowanków Z.H.P.

W imieniu Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii przemówił prezes Paweł Hęciak, który życzył pomyślnych obrad Zjazdowi.

Krótkie sprawozdanie z pracy w kręгах złożyli: inż. Stanisław Orłowski — Kanada, J. Sadłńska — Stany Zjednoczone, M. Machnikowa — Argentyna, M. Piskozub — Australia, H. Karasińska — Francja, dr Pomorski — Belgia. W imieniu Kongresu Polonii Kanadyjskiej i SPK w Kanadzie przemówił p. S. Lewicki.

Zjazd wiele czasu poświęcił na przedyskutowanie problemu młodzieży w świecie współczesnym. Referat na ten temat wygłosił o. Mirewicz. W wielogodzinnej dyskusji po referacie wzięło udział ponad 40 osób.

Zjazd jednomyślnie stwierdził, że praca harcerska poza Krajem opiera się o zasady ideowe i organizacyjne zawarte w Statucie Związku z roku 1936.

W czasie Zjazdu pracowały komisje: ideowa, statutowo-regulaminowa, harcerki, harcerzy, starszego harcerstwa i kół przyjaciół.

Zjazd przyjął przez aklamację następującą rezolucję:

Światowy Zjazd Delegatów Związku Harcerstwa Polskiego obradujący w Londynie w dniach 28, 29, 30 i 31 sierp-

Z ŻYCIA POLSKIEGO

nia 1970 r., zwołany w 60-cio lecie nieprzerwanej służby harcerskiej, który zgromadził 109 delegatów ze wszystkich kontynentów na obszarze których żyją i działają polskie wspólnoty:

1) Zapewnia Naród Polski, że Związek Harcerstwa Polskiego, którego część działa w wolnym świecie, pozostaje wierny harcerskiej tradycji ofiarnej służby Bogu, Polsce i bliźniemu i w tym duchu prowadzi szeroką działalność.

2) Wyraża wiarę, że w Kraju w sercach młodego pokolenia jak i w sercach tych, którym dana była służba w szeregach Polskiego skautingu i harcerstwa, żyją nadal prawdy stanowiące fundament ideowy Związku Harcerstwa Polskiego i że trwa tam prawdziwy ruch harcerski, który nie może przejawiać się w zorganizowanych formach.

3) Stwierdza, że młode pokolenie harcerki i harcerzy urodzone i wychowane zdala od Polski „nie zrażone doświadczeniami dziejowymi własnego narodu, zawsze gotowe jest oddać Bogu i Polsce wszystko — ciała, serca i dusze“.

4) Przesyła młodzieży w Polsce serdeczne pozdrowienia oraz słowa otuchy na dalsze lata pracy i walki, w których wspólnym wysiłkiem przybliżamy dzień wolności.

Naczelna Rada Harcerska po Zjeździe dokonała jednomyślnie wyboru przewodniczącego Z.H.P., którym ponownie został Ryszard Kaczorowski.

Zjazdowi przewodniczył Z. Szadkowski.

ZJAZD I PIKNIK „POGONI“ Z MIDLANDU

Ruchliwy oddział „Pogoni“ w Leicesterze zorganizował Zjazd członków z Midlandu, połączony z piknikiem w miejscowości „Charnwood Forest“, z udziałem komendanta głównego „Pogoni“ płk. S. Mayera. Przybyły delegacje z ośrodków: Derby, Nottingham, Manchester. Organizatorem był ruchliwy płk. A. Dąbrowski.

Po terenowych zajęciach w godzinach porannych, uczestnicy Zjazdu wzięli

udział we mszy św., którą odprawił w klasztorze „Mount St. Bernard Abbey“ ks. kapelan B. Charzewski.

Po obiedzie uczestnicy zjazdu zwiedzili piękne okolice klasztoru.

Erka

FRANCJA

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO I 50-TA ROCZNICA ZWYCIĘSTWA POD WARSZAWĄ W 1920 ROKU W PARYŻU

W dniu 15 sierpnia br. Federacja Polskich Obrońców Ojczyzny zorganizowała, jak co roku, obchód z okazji święta Żołnierza Polskiego. Ponieważ w bieżącym roku przypada 50-ta rocznica zwycięskiej bitwy pod Warszawą obchód ten miał specjalnie odświętny charakter. Po mszy św. w kościele parafialnym w Paryżu, celebrowanej przez ks. proboszcza Klepackiego, podczas której patriotyczne kazanie wygłosił ks. rektor Kwasiński, odbyła się uroczystość złożenia wieńca i wzniesienia zniczy na Grobie Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym przez przedstawiciela Referatu Grenadierskiego SPK i Związku b. Żołnierzy 2 D.S.P., a to z okazji 30-letniej rocznicy walk 1-ej i 2-ej Dywizji Polskiej we Francji w 1940 roku.

Zarówno do kościoła, jak i pod Łuk Triumfalny przybyły liczne rzesze Polaków oraz liczne poczty sztandarowe, aby uczcić 50-tą rocznicę zwycięstwa. Należy podkreślić, że byli kombatanci z północnej Francji uważali za swój patriotyczny obowiązek wzięcie udziału w uroczystości. Przybyli więc członkowie Związku Rezerwistów i Byłych Wojskowych, członkowie i przedstawiciele kół SPK w Lannoy, Roubaix i Lille, poczty sztandarowe SPK-Paryż, 1 Dywizji Pancerniej, 2 D.S.P. z Lille, Roubaix, Paryża i Lannoy, Związek Rezerwistów i B. Wojskowych z Aubry, Rueil-Malmaison, Paryża, Pas de Calais, Lens, P.O.W.N. okręgu „Warszawa“ i Behune, Związek Deportowanych, „Sokol“—Paryż oraz poczty sztandarowe organizacji francuskich: 29ème Régiment de Chasseurs à Pied, Souvenir Français, Association Nationale des Officiers de Reserve, Association Nationale des Combattants Volontaires de la Résistance oraz 2 poczty sztandarowe American Legion.

Ogółem w uroczystości pod Łukiem Triumfalnym wzięło udział 26 pocztów sztandarowych i przeszło 120 osób. Francuskie ministerstwo Obrony Narodowej delegowało na uroczystość swego przedstawiciela ppłk. Pierre Lallart, z Instytutu Studiów Wyższych Obrony Narodowej.

Należy podkreślić fakt, że emigracja polska we Francji żywo reaguje na rocznice patriotyczne i pragnie nimi zmanifestować swe przywiązanie do historii i tradycji polskich.

S Z W A J C A R I A

OBCHÓD 50 ROCZNICY BITWY WARSZAWSKIEJ I 50-LECIA 2-GO POWSTANIA ŚLĄSKIEGO

Staraniem Związku Organizacji Polaków w Szwajcarii, Koła SPK Burgdorf. Solura i Kiermaszu Książki Polskiej odbyło się dnia 16 sierpnia br. w „Mieście Naczelnika“ — Solurze tradycyjnie obchodzone święto Żołnierza, w tym roku niezwykle uroczyste, ze względu na pamiętną rocznicę.

Mszę św. odprawił i piękne okolicznościowe kazanie wygłosił ks. prałat E. J. Frania. Kościół był wypełniony po brzegi — jak nigdy dotąd. Po mszy św. liczni pielgrzymi do Mekki — Solury z całej Szwajcarii i zza granicy zwiedzili pamiątki po Naczelniku, następnie zebrał się w dużej reprezentacyjnej sali restauracji „Zufthaus zu Wirthen“ na wspólny obiad i akademię.

Akademię zagał prezes ZOP dr J. Paszkowski, który przedstawił dzieje 2-go powstania śląskiego, w którym brał czynny udział. Następnie M. F. Respond odczytał referat pod tytułem: „Bitwa warszawska i jej znaczenie“

W części artystycznej wystąpili: Marysia Morkowska, p. Kazimiera Skalska — recytacje oraz prof. Ewa Czyżewska, która wykonała szereg utworów Chopina. Jednym z istotnych punktów programu uroczystości był udział 15 weteranów bitwy warszawskiej. Ogółem w Szwajcarii przebywa ich 20. Oto ich nazwiska: o. prof. I. M. Bocheński O.P., B. Borkowski, płk. A. Burgisser, chor. R. Kwiatkowski, J. Jakubowski, płk. W. Krzyściak, B. Kulej, J. Mularski, J. Okopnik-Przybyłowski, dr J. Paszkowski, dr J. Rakowski, J. Skarżyński, F. Stempień, płk. J.E. Sopoćko i K. F. Vincenz.

Uroczystość zakończono rozdaniem odznaczeń: Krzyż Kawalerski orderu Polonia Restituta otrzymali: dr J. Paszkowski, prezes SPK i ZOP, inż. Z. Pągowski, art. rzeźbiarz Z. Stankiewicz. Złoty Krzyż Zasługi: T. Sarnecki, lektor języka polskiego na Uniwersytecie w Zurychu, S. Kasztura i L. Radzik za działalność społeczną. Srebrny Krzyż Zasługi przyznany został dr S. Laskowskiemu, dr J. Stefanickiemu i A. Olewnickiemu za prace społeczne i kul-

turalne. Złotym Krzyżem Zasługi odznaczony został również Szwajcar Oskar Kopf z Berna, b. komendant obozu internowanych żołnierzy polskich w Winterthur.

Pod koniec uroczystości p. Skibińska z Genewy wręczyła złoty pierścień pochodzący od Tadeusza Kościuszki jako dar dla Muzeum na ręce dr U. Dietschi, prezesa Twa im. Kościuszki.

ZGON WIELKIEGO PRZYJACIELA POLAKÓW

W początkach sierpnia zmarł w Solurze biskup Franciskus von Streng. Śp. Zmarły biskup przeżył 86 lat, na czele diecezji Basel-Lugano z siedzibą w Solurze stał od 31 lat. Dzięki przymiotom umysłu i serca, oraz osobistemu czarowi zapisał się we wdzięcznej oraz trwałej pamięci swoich i obcych.

Śp. Biskup von Streng zapisał się również dobrze w pamięci Polaków. Po przekroczeniu granicy szwajcarskiej w 1940 roku przez 2 D.S.P. w wyniku klęski Francji i jej załamania, odwiedził obozy internowanych polskich żołnierzy, często i bardzo skutecznie interweniował u władz celem polepszenia ich doli. Był członkiem PRO POLONIA i założycielem oraz przewodniczącym stowarzyszenia POLENHILFE (Pomoc Polakom).

Z odejściem śp. biskupa von Strenga stracili Polacy prawdziwego przyjaciela i orędownika.

W pogrzebie wzięła udział polska delegacja w osobach prezesa B. Gmurczyka i piszącego te słowa.

ODCZYT CHMIELOWCA

W ramach akcji odczytowej, którą Kiermasz Książki prowadzi w Szwajcarii odbył się dnia 7 sierpnia br. Wieczór autorski Michała Chmielowca, redaktora tygodnika „Wiadomości“ w Londynie. Spotkanie prenumeratorów Tygodnika z naczelnym redaktorem wypełniło drugą część wieczoru.

Michał Chmielowiec poeta, pisarz i publicysta w krótkim referacie przedstawił swoją działalność literacką, kładąc główny nacisk na redakcję Wiadomości, których kierownictwo objął po śmierci założyciela i redaktora śp. Mieczysława Grydzewskiego. — Utwory Chmielowca czytali na zmianę Halszka i Kazimierz Vincenzowie. Zebrani usłyszeli fragmenty z książek: „Chwile“, „Bajki, prawdy i morały“, i „Lubędź z Sabaudii“. Druga część wieczoru poświęcona była „Wiadomościom“, gdzie uczestnicy zachęcani przez przewodniczącego i redaktora wypowiadali swe opinie. Redaktor Chmielowiec udzielał wyczerpujących informacji — odpowia-

dał na pytania. Głos m.in. zabierali: dr Wyderko, dr K. Biźnia, dr J. Rakowski, Jadwiga Kuchcińska, Halszka Vincenz.

W wystawie Kiermaszu Książki dominowały utwory prelegenta. Prawie wszystkie zostały sprzedane. Jak zwykle autograf dedykacja autora bardzo sprzyjały w rozprowadzeniu książki.

SPOTKANIE Z TYMONEM TERLECKIM

Tymon Terlecki, obecnie profesor literatury polskiej na Uniwersecie w Chicago w czasie urlopu w Szwajcarii spotkał się z rodakami w Zurychu.

Znany pisarz — historyk literatury teatrolog i krytyk, twórca m.in. gigantycznego dzieła „Literatura Polska na Obczyźnie 1940-1960“, prof. dr T. Terlecki w formie gawędy poinformował zebranych o katedrach polskich w USA i o zainteresowaniach polską nauką i sztuką. Sprawa nie przedstawia się zbyt pomyślnie. Prześladowania przez reżim PRL intelektualistów odbijają się potężnym echem w USA, a szkody „zarządzeń“ PRL będą niezwykle trudne do odrobienia.

W tym czasie odwiedził też Szwajcarię inny uczonec i pisarz dr Wiktor Sukiennicki, profesor w USA. Prof. Sukiennicki autor licznych książek i rozpraw w polskim i angielskim języku, przyjechał do Szwajcarii w poszukiwaniu materiałów publikowanych tu przed 50-ciu laty, a potrzebnych mu do przygotowywanego dzieła w języku angielskim o Litwie Środkowej. Materiały te znalazł w Bernie i Genewie! (brawo szwajcarski porządek).

Kazimierz F. Vincenz

B E L G I A

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA W BELGII

Poświęcenie sztandaru Koła SPK Mons

W dniu 15 sierpnia br. w Bousso-Bois (Mons) odbył się uroczysty obchód „Święta Żołnierza“ połączony z poświęceniem sztandaru Koła SPK Mons.

W godzinach popołudniowych zjechały się do sali parafialnej poczty sztandarowe wraz z delegacjami Kół SPK Bruksela, Charleroi, Liège oraz z Okręgu Mons; Oddziały Związku Polaków, Bractw św. Barbary, delegacja kombatanów belgijskich ze sztandarem oraz przedstawiciel Włochów. Po sformowaniu pochodu udano się do kościoła, na uroczyste nabożeństwo odprawione przez ks. H. Repkę, Rektora Polskiej Misji Katolickiej w Belgii, w asyście

ks. M. Kuchcińskiego, miejscowego proboszcza.

Przy ołtarzu ustawiono 11 sztandarów. W pierwszych rzędach zasiadli przedstawiciele organizacji społecznych oraz rodzice chrzestni sztandaru, który został wniesiony przez p. K. Sitka, sekretarza Koła SPK Mons.

Po mszy św. i okolicznościowym kazaniu ks. Rektora H. Repki, który oddał hołd żołnierzowi polskiemu, obrońcy Ojczyzny w 1920 roku przed nawałą bolszewicką na Warszawę — dokonał poświęcenia sztandaru, na którym hasło „Bóg, Honor i Ojczyzna“ jest symbolem dalszej walki narodu polskiego o te wieczne dla Polaków prawdy. Rodzice chrzestni w osobach: pani Kosy i p. Drozdowski, p. Wilczewskiej i p. S. Merły, p. Suchodolskiej i p. Śledzia ujęli w swoje dłonie sztandar i złożyli przysięgę wierności dla ideałów, którym on będzie służył. Uroczystości kościelne zakończono odśpiewaniem „Boże coś Polskę“.

Z kościoła z nowo poświęconym sztandarem na czele udano się do sali, na akademię.

Akademię, w zastępstwie prezesa W. Mrówczyńskiego zajął p. P. Malec, wiceprezes Koła SPK Mons. Gości witał p. K. Sitek, po czym p. W. Drozdowski, prezes SPK Belgia wręczył sztandar p. P. Malcowi podkreślając wielką chwilę w życiu organizacji kombatanckiej ten moment zewnętrznego znaku naszej dalszej walki o Polskę.

P. prezes W. Drozdowski w asyście p. S. Merły dokonał wręczenia dyplomu i srebrnych odznak honorowych pp. Kazimierzowi Włodarczykowi, zasłużonemu wiceprezesowi Koła SPK Liège i Janowi Hnydzie, długoletniemu i wytrwałemu chorążemu Koła SPK w Charleroi. Po czym zostały wręczone medale pamiątkowe Monte Cassino zasłużonym członkom z Koła SPK Mons.

Akt wbijania gwoździ do sztandaru rozpoczął p. prezes W. Drozdowski w imieniu Zarządu Głównego Federacji Światowej SPK w Londynie, a następnie kolejno kontynuowali pp.: S. Merło (Zarząd SPK Belgia), G. Czertwertyński (Koło SPK Bruksela), W. Wojciechowski (Koło SPK Liège), J. Goppold (Koło SPK Charleroi), K. Ullman (Koło 1. Dyw. Panc. Belgia), J. Gruszczyński (Stow. Mężów Katolickich w Belgii), K. Gładki P.P.S. Mons), J. Rzemieniewski (Rada Komitetu Wolnych Polaków w Belgii), P. Malec (Związek Polaków), K. Rabacha (Bractwo św. Barbary — Flenu) i wielu innych gości i delegacji organizacji niepodległościowych w Belgii.

Obszerny i dobrze udokumentowany referat wygłosił p. W. Wojciechowski.

Podał on zebrany obraz sytuacji strategicznej w dniach sierpniowych 1920 roku podkreślając całkowite opuszczenie Polski i narodu polskiego przez wszystkie ówczesne państwa europejskie, poza Francją, która zamiast dywizji przysłała do Warszawy misję wojskową z gen. Weygandem na czele i z udziałem kapitana de Gaulle'a. Generałowie: Sosnkowski, Rozwadowski, Sikorski, Rydz-Śmigły, Haller i inni wykonawcy planu walki Naczelnego Wodza razem z całym narodem polskim z premierem Witosem na czele odparli nawałę bolszewicką spod Warszawy i rozgromili czerwoną armię niosącą Europie zagładę.

Jednominutową ciszą i przez powstanie zebrani na akademii uczcili pamięć poległych i zmarłych za Polskę żołnierzy i ludności cywilnej podczas Bitwy Warszawskiej w 1920 roku, w kampanii wrześniowej 1939 roku, Powstania Warszawskiego w 1944 roku i ginących dzisiaj w więzieniach UB i w obozach zagłady w Sowietach żołnierzy Armii Krajowej.

Oddano hołd śp. Generałowi Władysławowi Andersowi, zmarłemu w Londynie i pochowanemu na cmentarzu Monte Cassino. Śp. Generał Anders nie skapitulował do śmierci. Nie wrócił do Kraju okupowanego przez Sowiety. Pozostał ze swoimi żołnierzami, aby dalej walczyć o Polskę Wd'ną.

Życzenia Zarządowi Koła SPK w Mons składali: Ks. Rektor H. Repka, p. K. Gruszczyński, p. J. Gładki, p. W. Drozdowski i S. Merło. Mówcy podkreślili zasługi Koła SPK w Mons w zorganizowaniu Święta Żołnierza w Belgii, a szczególnie połączenie go z poświęceniem sztandaru Koła, które wzmocni więź braterską między organizacjami niepodległościowymi na tym terenie. Przyszła szkoła polska, która ma powstać dzięki Kołu SPK będzie żywym łącznikiem między kombatanтами i młodzieżą. Nauka języka, historii i kultury polskiej pozwoli młodemu pokoleniu na emigracji zapoznać się z dorobkiem ich ojców i być dumnym ze swego polskie-

go pochodzenia. Nie należy obawiać się „odejścia“ młodzieży od polskości. „Młodzież wróci do polskości, bo da ona jej postawę uprzywilejowaną wobec swego otoczenia“ — jak podkreślił jeden z mówców.

S. Merło

MAJOR-GENERAL J. F. C. FULLER
C.B., C.B.E., D.S.O.

THE BATTLE OF WARSAW, 1920

przedruk z książki

„The Decisive Battles of the
Western World“

z okazji 50-tej rocznicy
zwycięstwa
nad armią bolszewicką

Cena 3 s. z przesyłką 3/6

KSIEGARNIA SPK,
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“

ZESZYT XVIII

zawiera m.in. prace:

S. POPKIEWICZ: Łączność radiowa
z Krajem po powstaniu warszawskim.

S. ZOCHOWSKI: O Sztabie Głównym
i Wyższej Szkole Wojennej.

J. GARLIŃSKI: Oświęcim walczący.

P. WANDYCZ: Jeszcze o misji Jerzego
Potockiego w 1933 roku.

Ponadto: „Na 25-lecie P.R.L.“;
„W ZSSR o powstaniu warszawskim“,
dział wspomnień, polemiki i recenzje.
Str. 238

Cena: 30s. — 18.50 F. — 4 dol.

SAMOCHÓD DO POLSKI BEZ CŁA

FIAT 125 — P

1300cc £666-13-4 • 1500cc £750

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA Ltd

81, CROMWELL RD., LONDON, S.W. 7. Tel. 01-373 7888/9

NORMY I NADGODZINY

W CZERWCU br. „Trybuna Ludu“ przedrukowała dwa artykuły z „Głosu Wybrzeża“, omawiające politykę płac, stosowaną do dnia dzisiejszego w przemyśle społecznym. Czytelników prasy partyjnej musiał uderzyć fakt, że krytyczne uwagi, zawarte w **Głosie Wybrzeża**, organu komitetu wojewódzkiego partii, kierowanego przez członka biura politycznego, a ostatnio i wicepremiera Kociołka, mogły się ukazać i że nawet **Trybuna Ludu** przedrukowała je w całości.

Artykuł pierwszy (8 czerwca br) zatytułowany „Klondike czyli kopalnia złotych“, drugi „Kawa na ławę“. W gruncie rzeczy najodpowiedniejszym dla obu artykułów byłby tytuł „Co lepiej popłaca, by zarobić więcej — przekraczanie norm produkcyjnych czy praca w nadgodzinach“.

PODSTAWA PRAWNA NADGODZIN

W pierwszym artykule, Józef Brudkiewicz, przypomniał przepisy prawne, na których opiera się wynagrodzenie za pracę wykonaną w nadgodzinach. Podstawowy przepis, obowiązujący do dnia dzisiejszego zawarty jest w art. 16, ustawy o czasie pracy w przemyśle i handlu z 18 grudnia 1919 roku, znowelizowany art. 8. dekretu, wydanym przez Krajową Radę Narodową 16 maja, 1945 r., który postanawia, że „praca w godzinach nadliczbowych ma być wynagradzana co najmniej 50 procentowym dodatkiem do płacy normalnej. Za godziny nadliczbowe ponad 2 godziny dziennie oraz za pracę w godzinach nadliczbowych, przypadających na noc lub w niedzielę i święta, dodatek ten ma wynosić co najmniej 100 procent“.

Wyśrubowane w centralnym planie gospodarczym nadmiernie wskaźniki produkcyjne, pociągnęły za sobą wzrastającą z roku na rok ilość przepracowanych godzin nadliczbowych. Toteż w art. 9 ustawy o czasie pracy, wprowadzono limit

tych godzin, które dla poszczególnego pracownika nie mogły wynosić więcej niż 4 godziny na dobę, a łącznie nie więcej jak 120 godzin w roku.

W tym samym czasie przedsiębiorstwa, chcąc zadośćuczynić nadmiernym wymaganiom, zawartym w planie gospodarczym, starały się wykonać plan drogą przyjmowania do pracy nowych robotników, a gdy nowa strategia gospodarcza i tu narzuciła im ograniczenia, wówczas powróciły do systemu nadgodzin i bez oglądania się na limity (4 godziny na dobę, względnie 120 na rok) wypłacały należności w całości. Co więcej, w konkretnych wypadkach, pracownicy sami przeformowali zasadę, według której również dodatkowe godziny przepracowane celem przekroczenia normy, należy płacić według stawek ustalonych dla godzin nadliczbowych. A ponieważ dekret nie ustawił, w jaki sposób należy wynagradzać godziny „ponadnormowe“, przeto z prawnego punktu widzenia, przedsiębiorstwa były zupełnie w porządku.

Można by, rozumuje autor, wydać nowe, surowe przepisy i płacić wtedy pracownikowi, który przekroczył 4 lub 120 godzin, tylko płacę za dniówkę normalną. Można by, ale wtedy, jak dodaje, jeśli za pracę mniej wydajną można otrzymać takie samo lub nawet wyższe wynagrodzenie niż za pracę bardziej wydajną, wykonywana będzie niewątpliwie tylko praca mniej wydajna.

CO WIĘCEJ POPŁACA?

Odpowiedź na to pytanie zawarta jest w drugim artykule (22 czerwca), a udzielił jej nie kto inny jak autentyczny pracownik stoczni gdańskiej Józef Ciechanowicz. — Przedstawił cztery przyczyny, które wytworzyły obecny stan rzeczy, a mianowicie: Polak w kraju pracuje źle, zarobki są za niskie, a jeśli pracownik wyrobi normę ponad 100%, wtedy norma zostaje podwyższona, a zarobki pozostają bez zmian, Ła-

two jest dzisiaj znaleźć lepiej płatną pracę, stąd wielka płynność kadr, a wreszcie, niechlubna cecha narodowa — gadulstwo w czasie pracy i skłonność do zaniebdywania obowiązków.

Z ostatnią uwagą, którą nazwał „cechą narodową“, prawdopodobnie dla złagodzenia ostrej krytyki o podnoszeniu norm bez odpowiedniego wynagrodzenia, nie możemy się zgodzić. Za to świadek, sam pracownik stoczni gdańskiej, byłby w porządku, gdyby dodał jeszcze piątą przyczynę, wpływającą, i to w wysokiej mierze, na stratę czasu, który pracownik musi nadrobić. Tą przyczyną są liczne zebrania, zwoływane w czasie pracy przez czynniki partyjne i związkowe, na których omawia się, nieraz bardzo długo, sprawę uczenia różnych rocznic i zjazdów dodatkową produkcją. A to co autor nazywa gadulstwem, to krytyka i protesty pracowników, rozgoryczonych z powodu odczytanego im zobowiązania, na które nikt nie wyraził zgody.

Za to Ciechanowicz naświetlił wcale dobrze przyczynę, dlaczego pracownik, w tym wypadku w jego stoczni, woli uzyskać wyższy zarobek nie drogą wynagrodzenia za przekroczenie norm produkcyjnych, a przeciwnie, za godziny nadliczbowe. A otą cyfry podane przez Ciechanowicza:

Podstawowy zarobek pracownika w grupie VI, za 200 godzin pracy po zł. 10.53 za godzinę, daje mu miesięczny zarobek brutto — 2.506 złotych. Po potrąceniu podatku, ubezpieczenia i składek związkowych (nie wspomniął o składce do partii i liczne zbiórki) pozostaje mu 2.198 netto.

Jeśli w tym okresie wyrobi 30% nadwyżki normy ponad 100%, zarobek jego podwyższa się o 60 godzin roboczych, a dochód brutto wynosi wtedy 3.257 zł., zaś po potrąceniu pozostaje mu dochód netto 2.764 złotych.

Z drugiej strony, jeśli w miesiącu przepracuje 12 godzin dziennie,

JESZCZE RAZ O INDYKACH

Motto: Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich dzieci chowanie (Staszic, napis w auli Politechniki Warszawskiej).

Do napisania tego artykułu zdołował mnie felieton Michała Wyrwicza pt. „Walka o rząd dusz“, zamieszczony w czerwcowym numerze „Orla Białego“ z br., co nie znaczy wcale, że mam zamiar polemizować z p. Wyrwiczem. Jedną chciałbym wnieść poprawkę (jeśli cenzura redakcyjna ją puści): pisząc o wpychaniu w „indyce“ gardła młodzieży przez partię socjalistycznej karmy napisałbym dosadniej — mianowicie że „pokarm pochodzący z moskiewskiej kuchni był tak niesmaczny i ciężko strawny, że młodzież... doznawała najpierw mdłości“, a następnie poczęła najwyczejniej w świecie żygać — w pamiętnym marcu 1968 roku. Wiem coś o tym z własnych doświadczeń. A poza tym — ludzie kochani, nie bójmy się słów, które na codzień nazywamy wulgar-

nymi. Świadome ich użycie w odpowiednim kontekście jest lepsze niż najwykwintniejsze eufemizmy. Ja jednak nie o „żyganiu“ chciałem...

Dosyć skrótowo przedstawił pan Wyrwicz sytuację w łonie nauczycielstwa polskiego, sygnalizując nawożenie głów nauczycielskich komunistycznym nawozem. Z tej ziemi ma według pobożnych życzeń partii wzrosnąć nowy, „zdrowy“ plon. Pan Wyrwicz nie jest hodowcą indyków, ja z kolei nie jestem rolnikiem, ale wiem, że przy takim samym nawożeniu różne będą plony z gleby klasy I i z gleby klasy VI, której w Kraju nie brakuje. Drodzy państwo, sam nie wiem, czy się mamy cieszyć, czy martwić dlatego, że nauczycielstwo polskie nie pod każdym względem przypomina tę super-glebę I klasy. Składa się na ten stan rzeczy wiele przyczyn, z których niskie pensje nauczycielskie są tylko kolejną. Chciałbym w niniejszym tekście

przypomnieć drogę, która prowadzi młodego człowieka w kraju do zawodu nauczycielskiego. Przedtem jednak pragnę przedstawić państwu panujący w Polsce stosunek nauczyciela do ucznia i relację odwrotną.

Oczywiście, nauczyciel jest „ponad“. Uczeń szkoły podstawowej czy średniej, a nawet wyższej, nie ma praktycznego prawa do dyskusji z nauczycielem w sprawach konfliktowych. Nauczyciel ma zawsze rację; zdarza się jednak, że ogół (pod którym rozumiem kierownictwo szkoły, grono nauczycielskie i rodziców) dochodzi do przekonania o niesłuszności racji nauczyciela. Powstaje wtedy konieczność wyboru między ochronieniem złe pojętego autorytetu wychowawcy i najwyczejniejszym w świecie przyznaniem racji uczniowi i usatysfakcjonowaniem go. Sytuacja nie tylko polityczna, panująca w Polsce, narzuca pierwszą alternatywę automatycznie: rację ma nauczyciel.

NORMY I NADGODZINY

wtedy za dodatkowe 40 godzin (20 po 50% a 20 po 100% podwyżki za nadliczbowe godziny) otrzyma dodatkowo 288 zł. czyli, że jego dochód brutto podniesie się z 2.506 do 2.794 zł., czyli o 30 zł. więcej niż by otrzymał, gdyby normę przekroczył o 30 procent. A ten dodatkowy otrzymuje bez obawy, że już po stosunkowo krótkim czasie normę mu podwyższą o 30 procent, a wówczas już nic nie dorobi. A w tym właśnie leży sedno zagadnienia.

Ciechanowicz nie wyklucza konieczności zmiany norm, ale jego zdaniem, może to mieć miejsce raz na dwa lata i tylko o 3 do 5 procent, a nie o 30 procent. Ale zmiana musi być wprowadzona tylko po rozmowie z pracownikami. Za to obecny system ustalania nowych norm za biurkiem, przy czarnej kawie i za plecami robotników należy „wyrzucić na śmietnik“. Dodatkowo wyjaśnił, jak się ustala normy produkcji, a jaka w tym wypadku jest obrona zastosowana przez robotników, by normy nie zostały podwyż-

szone. Mówi, że w każdym zakładzie pracy jest komórka normowania pracy. Pracownicy tej komórki, uzbrojeni w stopery, mierzą czas pracy każdego robotnika. Nie rozumieją oni, oczywiście, że robotnik wtedy wcale się nie spieszy, a raczej pracuje powoli. A ten właśnie środek obrony okazał się bardzo skutecznym i zdołał zapobiec nadmiernemu śrubowaniu norm.

Ciechanowicz jest również zmartwiony wielką ilością godzin, które w jego stoczni zużywa się na budowę jednego statku i podaje, że gdy w polskich stoczniach ich ilość wynosi 983 tysiące, to np. w Japonii taki sam statek budują w ciągu 320 tysięcy godzin, w USA 450 tysięcy, we Francji 500 tysięcy.

Ciechanowicz, ze zrozumiałych zresztą względów, nie podał głównej przyczyny, dlaczego polski robotnik, już od 25 lat musi przekraczać normy produkcji, względnie musi pracować w nadgodzinach. Przyczyną są niezmiernie niskie zarobki podstawowe. Podany przez

niego zarobek netto około 2.000 zł. mówi sam za siebie. Jak w tej sytuacji może on utrzymać rodzinę, jeśli, dla przykładu, ta kwota pokrywa koszt średnio gatunkowego ubrania, które robotnik na zachodzie dostaje za jednotygodniowy tylko zarobek. Jak w tej sytuacji może on żywić, ubrać i wychować rodzinę? Tym tylko porównaniem mierzy się stopę życiową mas pracujących w świecie. A tu właśnie leży kardynalna przyczyna, dla której robotnik polski musi dorabiać pracą w nadgodzinach, co przedłuża mu dzień pracy i pozbawia go wielu wolnych niedziel i świąt. To też w tej sytuacji, i po 25 latach stosowania marksistowskiego systemu wyzysku pracy robotnika, w Polsce nadal stosuje się system nazwany na zachodzie „systemem marchwi“, zawieszony u bicia „dyndającej“ przed nosem konia, by wyciągnąć z niego większy jeszcze wysiłek. A to w języku komunistów nazywa się „socjalizmem“.

Władysław Opolski

Nieliczni tylko wykładowcy, stanowiący już nie wielkość procentową, ale mierzoną promillami, postępują zgodnie ze swoim sumieniem. Przykro mi o tym pisać, ale, w okresie gdy nauczałem w szkole podstawowej w jednym z miast wojewódzkich, znalazłem się w większości, „w procentach“. To pozbawienie ucznia podstawowych praw (zagwarantowanych przecież oficjalnie) jest tym pierwszym, rzadko dostrzeganym, czynnikiem, decydującym o tym, że nawożenie propagandą nie na wiele się zdaje. Inaczej być nie może — w atmosferze braku zaufania ucznia do nauczyciela trudno wymagać od tego pierwszego, by „na słowo“ przyjmował głoszone z katedry czy też tylko spoza stolika prawdy (i nieprawdy).

Dalej: szkolnictwo polskie, wbrew pniom prasy reżymowej, jest, delikatnie mówiąc, zacofane. Powszechnie daje się odczuwać brak pomocy naukowych, którymi nasycone są tylko nieliczne szkoły w większych ośrodkach. Jedynym dostawcą pomocy naukowych do szkół w Kraju jest instytucja znana jako CEZAS (Centrala Zaopatrzenia Szkół), wyłączny monopolista w tej dziedzinie. Każdy monopol jest niezdrowy, nie tylko jeśli chodzi o pomoce naukowe. W Polsce powiatowej i gromadzkiej ciągle królują szkoły o klasach łączonych, których jakoś nie mogą wyprzeć tysiąclatki. Nauka w takiej szkole odbywa się w sposób następujący: w jednej izbie (często wynajętej od kogoś z gospodarzy) dwa rzędy ławek. W jednym klasa I, w drugim klasa II. Nauczyciel prowadzi lekcję co 10 minut z inną klasą. Lekcja trwa trochę dłużej niż normalna, prawie godzinę. Klasa II czyta czytanekę, I w tym czasie pisze ćwiczenia kaligraficzne. Szumku nie można uniknąć, bo i jak, uwaga nauczyciela jest już nie tylko rozdwojona, ale rozpięciorkowana. W szkołach miejskich klasy są przeludnione (lub przeucznione, jak kto woli). Jest to skutkiem wyżu demograficznego, tak skutecznie zdaje się zwalczanego obecnie przez partię, o czym wspomina p. Wyrwicz. Dość dodać, że podczas mojej nauki w gimnazjum w mieście wojewódzkim, kawał czasu przed wyżem, rozpoczynałem edukację licealną wespół z 47 (czter-

dziestoma siedmioma) kolegami i koleżankami.

Porównując niewymierne, oczywiście widać od razu odstęp dzielący te dwa ośrodki. Absolwenci szkół wiejskich i powiatowych ustępują znacznie swym rówieśnikom z większych miast. Żeby zniwelować tę niezdrową dyproporcję partia zastosowała osławione punkty za pochodzenie, zwalczając w ten sposób skutki, a nie przyczyny, co już nas przestało dawno dziwić.

A teraz słów kilka o kształceniu nauczycieli szkół podstawowych, gdyż tylko oni wyposażeni są w wiadomości niemal wyłącznie zawodowe. Do niedawna kształceniem ich zajmowały się jedynie studia nauczycielskie, w których nauka trwała 2 lata. Studia nauczycielskie przyjmowały i przyjmują kandydatów po maturze, nie są jednak zrównane w prawach z uczelniami typu uniwersyteckiego czy akademickiego. Kształcący się w studium nosi godność studenta i ma legitymację studencką, nie ma jednak przywilejów takich, jak prawdziwy student (jeśli w Polsce można mówić o pozapartyjnych przywilejach). Sam charakter studiów nauczycielskich odstrasza młodych ludzi, żyjących wszak w kraju, w którym dyplom prawdziwej wyższej uczelni ma znaczenie prestiżowe. W ten więc „desen“ w pierwszym, czerwcowym terminie egzaminacyjnym większość kandydatów do nich stanowią absolw. szkół wiejskich i powiatowych. W kontekście rozważań powyższych jest to pierwszy minus determinujący przyszłego nauczyciela, jeszcze przed rozpoczęciem przez niego kształcenia się. W sierpniu studia nauczycielskie przeprowadzają drugą, dopełniającą sesję egzaminów wstępnych, do których stają (z obawy przed wcieleniem do wojska) przede wszystkim mężczyźni nie przyjęci na uniwersytety i nie przyjęci na wyższe uczelnie kandydaci jako tacy. Mamy więc do czynienia z drugim minusem — do studiów nauczycielskich trafiają więc ludzie nie mający zamiłowania do zawodu nauczycielskiego, podejmują ten zawód zupełnie przypadkowo.

Reżym nauki w studium nauczycielskim jest bardzo surowy, w wielu momentach przypominającym re-

żym szkoły podstawowej i średniej, że wspomnę tylko o obowiązku uczęszczania na wszystkie bez wyjątku zajęcia (co w końcu nie jest takie złe), który to fakt sam przez się degradowuje kształcącego się w studium młodego człowieka.

Nauka jednak trwa, nasz przysłowiowy Kowalski zalicza świetnie wszystko, pisze udaną pracę dyplomową i otrzymuje (upragniony?) dyplom nauczyciela.

Problem zatrudnienia nie jest — na razie przynajmniej — tak poważny, ja to sygnalizuje p. Wyrwicz. W szkołach jest nadal wiele etatów dla nauczycieli, tak więc strona ilościowa nie jest problemem; problemem jest strona jakościowa zatrudnienia postudyjnego. Wolne miejsca w szkołach, które mam na myśli, to przede wszystkim etaty w szkołach wiejskich, do których nie tęsknią nawet nauczyciele ze wsi pochodzący. Założmy jednak, że nasz Kowalski trafia w końcu na wieś. W 90% jest rozgoryczony; marzyło się mu, być może o dyplomie magistra czy inżyniera i późniejszej karierze naukowej itd., a tymczasem musi wegetować w małym środowisku, pozbawiony rozrywek, do których przywykł, pozbawiony standartu życiowego, w którym wyrósł lub do którego się tylko przyzwyczaił. I to jest minus trzeci, który sprawia, że Kowalski nie będzie się przykładał do swoich zawodowych obowiązków. Niska płaca — to minus czwarty. Brak perspektyw rozwojowych — piąty. Znaleźlibyśmy jeszcze i szósty, i siódmy, i dziesiąty, ale pocóż? Czy Kowalski będzie dobrym nauczycielem, świadomym roli, jaką przypadło mu odegrać w społeczeństwie? Raczej nie!!

A teraz, proszę państwa, zastanówmy się, jaka będzie reakcja Kowalskiego, gdy otworzy się przed nim szansa awansu społecznego w postaci legitymacji partyjnej? Przyjmie? Przyjmie! Da się nawieźć nawozem propagandowym? Da! Będzie nawoził uczniów? Będzie!!!

I pytanie ostatnie: czy uczniowie będą mieli do niego zaufanie, czy będą przyjmowali głoszone przez niego prawdy tak, jak się je przyjmuje od człowieka uczciwego i szanowanego?

Nie!

W ten sposób zamyka się błędne koło.

KONGRES WSPÓŁCZESNEJ NAUKI I KULTURY POLSKIEJ NA OBCYZNIE, który odbywał się w Londynie w dniach od 9 do 12 września br. zgromadził ok. 500 uczestników z W. Brytanii, z kontynentu europejskiego oraz krajów zamorskich, głównie z USA oraz Kanady.

Kongres (obszerniejsze omówienie w jednym z następnych numerów) zbiegł się, zresztą przypadkowo, bo był planowany początkowo na wcześniejszą datę, z 25-leciem istnienia naszej emigracji politycznej. Siłą rzeczy więc stał się jakby próbą bilansu dorobku nauki i kultury polskiej poza Krajem. Dorobek ten jest imponujący. Setki naszych uczonych pracuje w zakładach naukowych i uczelniach różnych krajów, krzewi się działalność wydawnicza w rozmiarach zadziwiająco dużych, działają instytuty, biblioteki, ukazują się cały szereg pism różnego rodzaju, rozwija się życie artystyczne.

Jednym z wielkich osiągnięć Kongresu był fakt, że dostarczył okazji zbliżenia się, bliższego poznania i wymiany doświadczeń całemu szeregowi ludzi nauki.

Z okazji Kongresu zorganizowano dwie wystawy książki polskiej, wystawę malarską, fotograficzną oraz filatelistyczną, wszystkie na wysokim poziomie. Wystawiono dwie sztuki („Zemsta” Fredry i „Marchoń” Brandstaettera) oraz odbył się wielki koncert muzyki polskiej.

FRANCOIS MAURIAC zmarły 1-go września br. przechodzi do historii piśmiennictwa jako jeden z ostatnich pisarzy francuskich, którzy w końcu ub. stulecia i dużej części obecnego kształtowali myśl europejską, byli wyrazicielami wzlotów i upadków naszych czasów, wzbogacali i poszerzali nasze dusze.

Urodzony (w r. 1885) w Bordeaux Mauriac stał się, na swój sposób, historykiem a zarazem surowym krytykiem mieszczaństwa francuskiego, do którego sam się zaliczał wcale się tego nie wstydząc. Był głębokim znawcą psychiki człowieka, cechowało go ostre widzenie rzeczywistości. Przez całe życie zachowywał ogromną wrażliwość na poezję. Lubił często mawiać o sobie, że był skazanym na katolicyzm. Zachowując jednak pełny respekt dla Kościoła katolickiego, potrafił być całkowicie niezależny w swych poglądach religijnych.

Ogromna większość jego twórczości dostępna jest w przekładzie polskim.

Oto ważniejsze pozycje: „Ciało i krew“, „Pustynia miłości“, „Teresa Desqueyroux“, „Kłębowisko żmij“, „Faryzeuszka“, „Galigai“, „Jagnię“.

Postawę swą manifestował także w całym szeregu szkiców i esejów: „Życie Racine’a“, „Bóg i złoty cielec“, „Cierpienie i szczęście chrześcijanina“, „Życie Jezusa“.

W r. 1934 został członkiem Akademii Francuskiej, w r. 1952 otrzymał nagrodę Nobla.

Nauka polska poniosła wielką stratę przez przedwczesny zgon **PAWŁA JASINIENICY** (właściwe nazwisko Leon Lech Beynar) pisarza, publicysty i historyka, który za swe odważne wystąpienia w obronie wolności słowa w Polsce znalazł się na liście zawzięcie prześladowanych, skazanych za życia na śmierć. Prace, które zdołał ogłosić przed skazaniem go przez reżim od r. 1968 na absolutne milczenie, wysunęły go na czoło polskiego piśmiennictwa zniewolonego. Wśród nich są zbiory reportaży o tematyce współczesnej: „Wisła pożegna zaścianek“, „Opowieści o żywej materii“, „Chodzi o Polskę“; z dziedziny archeologii — „Świt słowiańskiego jutra“, „Archeologia na wrywki“; z dziedziny historii — „Biały front“ (o powstaniu styczniowym), „Myśli o dawnej Polsce“, „Słowiański rodowód“, „Tylko o historii“, „Polska Piastów“, „Polska Jagiellonów“.

Londyński „The Sunday Times“ z 8.IX.1970 w korespondencji p. N. Carroll zamieścił tekst nacechowanego godnością i odwagą przemówienia Jerzego Andrzejewskiego nad grobem zmarłego pisarza. Andrzejewski powiedział m.in.: „Jest tu na pewno właściwe miejsce i czas, aby powiedzieć, że Paweł Jasienica zapłacił wysoką cenę za swe przekonania i za swą odwagę, które cechowały jego wystąpienia. Oskarżony o rzeczy, których nigdy nie robił i zbrodnie, których nigdy nie popełnił, łżony publicznie, poniżany i znieważany, został pozbawiony wszelkiej szansy obrony i prawa ogłaszania swych książek. Jego dawne książki zniknęły z księgarń, jego nowe dzieła nie mogły ujrzeć światła dziennego“.

PRZYJAZD KS. INF. W. MEYSZTOWICZA z Rzymu do Londynu w związku z Kongresem stał się wydarzeniem kulturalnym z okazji jego udziału w tegorocznej symbolicznej inauguracji roku urzędzonej przez Społeczność Aka-

demicką Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Ks. prof. Meysztowicz jest bowiem nie tylko I-szym radcą ambasady R.P. w Rzymie, b. prof. Uniwersytetu Stefana Batorego, profesorem prawa kanonicznego P.U.N.O., prezesem Instytutu Historycznego w Rzymie, wybitnym historykiem i archiwistą, ale i seniorem Społeczności, po śmierci prof. C. Jędrzejowiczowej. Symboliczną inaugurację zagał w sali teatralnej „Ogniska Polskiego“ prezes Rady Społeczności marsz. B. Podoski, który najpierw wezwał zebranych do uczczenia pamięci zmarłych członków Społeczności, m.in. i Pawła Jasienicy (1909-1970), zmarłego w Kraju, a następnie poinformował obecnych o ukazaniu się I tomu wielkiej monografii zmarłego seniora Społeczności prof. St. Kościalkowskiego o „Antonim Tyzenhauzie“. Jest to dzieło całościowej pracy autora, które stanowi szczególnie dokument stanu cywilizacyjnego i kulturalnego w W. Księstwie Litewskim w XVIII stuleciu, w ostatnim okresie istnienia niezależnej Rzeczpospolitej Polskiej.

Z koleż zabrał głos senior Społeczności ks. prof. Meysztowicz i wygłosił z pamięci piękny wykład inauguracyjny nt. „Filip II i Zygmunt August“. Zestawił on w nim sylwetki dwóch monarchów panujących w XVI stuleciu na przeciwległych krańcach obszaru cywilizacji chrześcijańskiej ujmując je w wielką syntezę historiozoficzną. Oba te kraje — Polska i Hiszpania — odegrały rolę obrońców cywilizacji chrześcijańskiej przed naporem islamu. Sytuacja w zasadzie nie uległa zmianie od tych czasów, z tym, że walka toczy się dziś według linii podziału, która biegnie nie tyle wzdłuż granic terytorialnych, co w sercach poszczególnych ludzi, i nadal trwa. Odczyt swój mówca nazwał „śpiwem łabędzim, który zwyki się przedłużać“.

Po wykładzie prof. M. Szyszko-Bohusz wręczył dyplomy z ukończenia Studium Malarstwa Sztalugowego 4 absolwentkom angielskim (piąta była nieobecna) oraz Polce p. B. Mirzwińskiej.

J. Ostr.

„KALENDARZYK

KOMBATANTA“

NA ROK 1971

będzie do nabycia od LISTOPADA br.

„MARCHOŁT“ i „ŁADNE KWIATKI“

„MARCHOŁT“ R. BRANDSTAETTERA W „PRO ARTE“

„Pro Arte“ zrobiło widzom bardzo miłą niespodziankę. Po ostatnich występach tego zespołu, można było się spodziewać nowej sztuki czytanej. Tymczasem dano pełno-spektaklowe — jeśli się wolno tak wyrazić — przedstawienie sztuki Romana Brandstaettera (ur. 1906) pt. „Marchołt“ w pysznej oprawie dekoracyjnej Feliksa Matyjaszkiewicza i w pomysłowej reżyserii kierowniczką artystyczną zespołu p. Olgi Żeromskiej. Autor, poeta i pisarz dramatyczny, dobrze znany jest emigracji nie tylko ze swego dłuższego pobytu na Bliskim Wschodzie podczas wojny, ale i z kilku sztuk granych w Londynie: „Milczenie“ wystawił „Teatr Aktora“ w r. 1959, a przedtem Teatr Polski Zrzeszenia Artystów wystawił w r. 1955 „Noce narodowe“.

„Marchołt“ jest „komedią sowszdrzalską“ w 8 sprawach, czyli scenach, cofającą się do XVI w., za panowania Zygmunta III, a zatem epoki nieco późniejszej, aniżeli opisanej w „Żywych kamieniach“ z 1918 roku, Wacława Berenta (1873-1940) poświęconych igrom i waganom. O ile jednak Berent pisał sztucznie stylizowaną polszczyznę — Brandstaetter udatnie archaizuje swój język w sposób zrozumiały nawet dla najmłodszego pokolenia Polaków żyjących na obczyźnie. W sztuce łączą się 2 wątki, jeden czysto awanturniczy żyjącej na marginesie statecznej społeczności frantów i wesółków nie pozbawionych talentów artystycznych i drugi poetycki. Wszystko rzucone jest na tło epoki historycznej, dając pole do wszechstronnego opisu dla wykonawców. Widowisko jest bardzo szczęśliwie umuzycznione z zachowaniem stylu epoki, a to już dzieło tak zasłużonego dla naszego życia muzycznego dyrygenta Zbigniewa Gedla. Dodać można, że rzecz dzieje się w Lublinie i Babińcu.

Rolę „Marchołta“, który „Króla Salomona“ wyprowadził w pole, objął Wacław Dybowski i właściwie poprowadził całe przedstawienie, grając, śpiewając i baraszkując bardzo przekonująco i zabawnie. Można było się tylko spodziewać, że będzie nieco „grubszy“ jeśli już nie „sprośniejszy“. Świetnie sekundowała mu trójka hultajów (frantów) Kacper (Zbigniew Szydło), Baltazar (Jan Chrzanowski) i Tomasz (Andrzej Klimowski) oraz pisarczyk (Zbigniew Rakowicz). Wszyscy grali swobodnie, śpiewali, koziółkowali i tańczyli sprawnie. Towarzyszyły im w tym śmigłe dziewczęta: trzy córki drukarza Zawadzkiego, Anusia (Marta Smolińska), Kasia (Barbara Borzysławska) i Zosia (Hanna Pollak). Wszyscy doskonale znali swe kwestie i u nikogo wymowa i dykcja nie szwankowała, w czym wielka zasługa p. Żeromskiej.

Nie tylko z samej młodzieży składała się ta bogata obsada. Była więc pyskata, ale kochająca żona Marchołtowa (Irena Różycka), była stateczna żona drukarza bardzo na miejscu (Lula Kowalska), był sam Zawadzki (Andrzej Banaszek) o dobrej sylwetce aktorskiej, była trójka rajców z burmistrzem na czele, sromotnie wywiezioną w pole przez Marchołta: Burmistrz (Benon Łaskowski), Dławikabrz (Zbigniew Siemaszkiewicz) i Dusimieszek (Stanisław Michałowski) figury raczej groteskowe i dlatego tym trudniejsze do wygrania. Dobrze wywiązał się ze swej trudnej roli Sędzia Kalitowski (Maurycy Kisielnicki), sporniewierany przez Marchołta za swe opilstwo i niedołęstwo, a najlepiej chyba Magda Karczmarka (Szczęsna Michałowska), która ma już bogaty dorobek sceniczny w grupie „Pro Arte“. Godną prezencję miał Wojewoda (Zbigniew Miłoszewski), a związało się koło niego jeszcze wielu rękodajnych, pachółków, mieszczan, żeby nie wspomnieć samego karta, których trudno tu wszystkich wymienić. Prolog i epilog wygłosiła

z powściągliwą godnością Genia Łubieńska.

Nad zmontowaniem tego b. wdzicznego widowiska pracowało jeszcze wielu współorganizatorów, dla których dotychczasowy wynik ich ofiarnej pracy niech im będzie zasłużoną nagrodą.

„ŁADNE KWIATKI“ W „RÓZOWYM BALONIKU“ W. BUDZYŃSKIEGO

Nazwa „Różowy Balonik“ jest wyraźną aluzją do dawnej rewii Wiktor Budzyńskiego i Jana Markowskiego pn. „Niebieski Balonik“, który był czynny w latach 1949-1954, kontynuując tradycję Wesołej „Lwowskiej Fali“ zwłaszcza z okresu wojny (1939-1945), odrodzonej przez zespół „Małej Czwórki“ w r. 1948. Wówczas teatr ten miał rywala w zespołach Mariana Hemara, Ref-Rena i innych. Obecnie pozostał sam na scenie londyńskiej, na której starał się zebrać jak najbardziej atrakcyjne siły rewiowe. Na pierwszy program poszły „Ładne Kwiatki“, bogaty i urozmaicony programem z 20 numerami na przemian zabawnymi lub śpiewnymi. Na czoło zespołu wysunęła się Irena Delmar, dzięki swym talentom scenicznym, reprezentującym tradycyjny rodzaj piosenkarstwa. Skontrastowana była z nią Magda Marek, która niedawno przybyła z Kraju i reprezentowała raczej nowy styl pop-muzyki.

Szczególne znaczenie tego programu polega na tym, że ten nowy styl wprowadzony został już nie tylko jako parodia, ale jako zaakceptowane osiągnięcie. Obok Budzyńskiego, jako autora, konferensjera, monologisty i partnera w skeczach wystąpił w samodzielnych numerach humorystycznych, chyba po raz pierwszy i zupełnie udatnie Bernard Czaplicki. Kilka piosenek odśpiewał b. muzykalnie Andrzej Marek, utalentowany kompozytor, akompaniator i deklamator. Ale chyba najudatniejsze były charakterystyczne występy Romana Ratschki, m.in. jako „Sała-

„WYSTAWA LETNIA“ 1970

DUŻE znaczenie ma coroczna wystawa „letnia“ Akademii Królewskiej w Londynie. Jest nie tylko przeglądem twórczości angielskiej ostatnich lat, ale też imponuje ilością wystawionych prac obejmujących malarstwo, rzeźbę i architekturę.

Obecna skupiła ponad tysiąc obiektów, dokładnie: 1.051. I nosi kolejny numer 202, czyli trwa ponad 200 lat. Imponująca cyfra. Zasadniczo każdy kto włada pędzlem czy dłutem może tu wystawić, ale w praktyce rzecz nie jest taka prosta. Pozornie, w liczbie tysięcy może się zmieścić kilkunastu artystów, gdyż najwyżej może jeden człowiek dać maksimum 3 prace, z których przyjmuje się jedną lub dwie, a w wyjątkowym wypadku wszystkie trzy. O przyjęciu decyduje jury. Ale pierwszeństwo wystawienia mają członkowie Akademii czyli „academicians“ i „associates“, a jest ich w sumie około 80, przy czym ci mogą wystawić do 5 prac, tak że szanse dostania się nawet wybitnego obrazu są małe, co szczególnie odbija się na malarzach czy rzeźbiarzach polskich. Mimo, że sztuka polska reprezentowana przez artystów emigracyjnych stoi na wysokim poziomie i liczy duży zastęp twórców, reprezentowana jest na wystawach tych mizernie jeśli chodzi o ilość.

Wedle dziennika „The Times“,

ŁADNE KWIATKI

ty“ (warszaw. dorozkarza) i Fredry. Budzyńskiemu należy się wdzięczność za kontynuowanie tradycji polskiego kabaretu literackiego, do czasu gdy go nie zlużują nowe teatryki studenckie. Jest to nieodzowny dla zdrowia społecznego wentyl dla lekkiej satyry, dającej upust wszelkim narastającym napięciom, krytykom lub niezadowoleniu a przy tym dostarczającej lekkiej kulturalnej rozrywki tym, którzy nie chcą lub nie mogą się zdobyć na dodatkowy wysiłek obcowania z poważną sztuką.

w roku bieżącym zgłosiło swe prace kilka tysięcy osób, a wystawiło kilkakaset. Widać jak wąskie jest ucho igielne. Między Akademią a artystami, którzy do niej nie należą, a dostać się nie łatwo, istnieje spór. Akademia uznaje, co nazywałbym „klasyczością“, a więc takie dzieło sztuki, które zrobił fachowy artysta, który ma za sobą ukończoną szkołę artystyczną, który osiągnął dobry poziom rysunku i koloru, oraz, oczywiście, kompozycji. Jak wiemy, wiek XX-ty, który uznał twórczość dziecka za sztukę i dopuścił najrozmaitsze eksperymenty, uznał za pełnoprawnych artystów również takich, którzy tych szkół, wymaganych przez akademików z Royal Academy, nie posiadają, względnie choć je mają, tak malują jak im fantazja dyktuje, czyli nie po akademicku, nie „klasycznie“.

Spór ten miał przykre formy i doszło do tego, że wystawiający w „RA“ był wyśmiewany jako pompier, a więc nadęta wielkość, która zerwała z żywą sztuką szukającą, a powtarza stare formy, dawno umarłe lub mało mające wspólnego z tym, czego oczekuje człowiek współczesny od sztuki. Gwoździem obrazu było nieprzyjmowanie przez „RA“ na swe wystawy obrazów wielu postępowych artystów. Ale to się zmieniło, Akademia się ugięła i od szeregu już lat dopuszcza wszystkie formy sztuki nowoczesnej, dając jak dawniej przewagę „klasycznym“ w jej pojęciu dziełom, faworyzując jednych swych członków, co oczywiście, jest jej dobrym prawem.

Widzimy obecnie i abstrakt i pop i op i inne kierunki. pozornie więc wszyscy są zadowoleni. Wystawa „letnia“ (trwa ok. 3 miesiące, począwszy od maja) jest nie tylko oknem na ostatni okres sztuki angielskiej, ale też dobrym miejscem sprzedaży dzieł sztuki. Co roku kilkadziesiąt tysięcy funtów za sprzedane obrazy i rzeźby wpływa do kieszeni wystawiających. Oczywiście,

sprowadzają głównie grube ryby, a więc artyści którzy zdobyli nazwisko, jeśli nie na całym świecie to przynajmniej na terenie Wspólnoty brytyjskiej. Ceny różne od półtora funta (tak, można nabyć dobre dzieło sztuki za kilka funtów, po setki, z górną granicą mniej więcej tysiąca funtów). Wystawione rzeczy wykupione są w granicach 35 do 50 procent wszystkich, z tym że co roku ten procent jest inny, ale utrzymujący się mniej więcej w powyższych cyfrach.

Co można powiedzieć o tegorocznej wystawie letniej?

Przypomina poziomem, zresztą wysokim, wystawę z roku 1969, gdyż ma jak tamta poziom wyrównany, dosłownie nikt nie wybija się gwałtownie nad innych, jak się już nieraz zdarzało. Chodząc po wystawach i znając duży procent artystów, tworzących w Anglii (nie koniecznie Anglików) widzi się cechy charakterystyczne poszczególnych artystów.

I tak zawsze miły jest mi każdy obraz L. S. Lowry'ego, choć prymitywny to jednak przepojony romantyzmem. Tym razem jest tylko jeden: „Śródmieście“. Uczczono pamięć zmarłego niedawno świetnego malarza Sir Williama Russella Flinta, znanego na całym świecie z reprodukcji, wystawieniem jego pięciu obrazów.

Artyści angielscy są b. mocni w krajobrazie. Przepiękne są tu „Skalista dolina“ Johna Aldridge, dwa inne obrazy tegoż artysty, „Majorca“ i „Zbocze doliny Soller“ Fryderyka Gore, kilka innych. Z portretów udany jest wizerunek aktorki filmowej Susan Hampshire, a jest kilka innych również wartych wymienienia. Simon Elwes pokazał dobre dzieło: „Pan V. Poklewski Koziell“. Jest i „Princess Marina Duchess of Kent“ tegoż samego artysty — obraz nieukończony, portret b. premiera Harolda Wilsona zamówiony przez Jesus College w Oxfordzie, pędzla Ruskina Spear.

(dokończenie na str. 40)

„Pierwsze lądowanie na ziemi“ Carela Weight posiada dynamizm ruchu postaci, przypomina ujęciem tematu społeczną tematykę XIX-go wieku. Warto tu zrobić uwagę. Zarzuca się sztuce nam współczesnej, że zbyt mało oddaje nasze życie, nasze problemy itp. To nie jest prawdą. Oddaje, choć pośrednio. Sztuka, jakieś sto lat temu, pokazywała zły stan ekonomiczny klasy robotniczej, strajkujących, pozamykanych do więzień za udział w zaburzeniach, obdarte dzieci, niedożywione kobiety itp. A jednocześnie życie bogatego mieszczaństwa, ich salony itp. Sztuka przylegała do życia. Dziś, jeśli chodzi o tematykę wystawionych prac panuje istna sielanka. Kwiaty, portrety, krajobrazy więcej znad Morza Śródziemnego jak z Anglii, akty, martwa natura. Gdzie jest zwyczajne życie, gdzie zagadnienia społeczne? Nieciekawie to ani dla artysty ani dla widza. Monotonia dobrobytu. Stabilizacja. Nic się złego nie dzieje. Może są niezadowoleni, nigdy ich nie brakło, ale... zasadniczych zmian nikt tu nie pragnie. Sztuka

wyraża właśnie, pomijając tematykę społeczną, ten stan rzeczy.

W chwili obecnej Anglia stoi na pierwszym miejscu jeśli chodzi o rzeźbę. Na tym przodującym miejscu utrzymuje się już wiele lat. Może nie na pierwszym, ale wśród czołówek światowej na wybitnym miejscu jest angielski linoryt. Też już chyba od zakończenia wojny. Zawsze stała tu wysoko grafika, tylko olej wyprzedzany jest przez Europę włoską, francuską, hiszpańską. Choć i tu są mocne rzeczy po stronie angielskiej, specyficznym własnym jak choćby Lowry i inni. Wszystkie techniki o jakich tylko można zamaryć są na obecnej wystawie. Polacy, którzy co roku dwoma czy trzema nazwiskami pokazują się na „letniej“ wystawie, nie mieli jakoś szczęścia na obecną się dostać. Ale mamy tu Jerzego Buday'a dwie dobre prace, drzeworyty (coś a la nasz Chrostowski) o tematach irlandzkim i arabskim.

Wystawę radzę zwiedzić. Warto na nią przyjechać do Londynu nawet gdy się mieszka poza nim.

Stefan Legeżyński

Książki nadesłane

Eugenia Wasilewska, **THE SILVER MADONNA**, (the story of a Polish girl who fell into the hands of the Russians), George Allen and Unwin Ltd., London, 1970, pages 216, price 36 sh.

Geoffrey Morgan and W. A. Lasocki, **SOLDIER BEAR**, (story of Woytek the bear who became the mascot of the 22-nd Company, Polish Army Service Corps), Collins, London, 1970, pages 124, price 25 sh.

ZESZYTY HISTORYCZNE, zeszyt XVIII, Instytut Literacki, Paryż, 1970, stron 239, cena 30 sh.

Witold Gombrowicz, **TRANS-ATLANTYK**, dzieła zebrane t. II, Instytut Literacki, Paryż, 1970, str. 129, cena 25 sh.

Witold Gombrowicz, **PORNOGRAFIA**, dzieła zebrane t. III, Instytut Literacki, Paryż, 1970, str. 163, cena 31 sh.

Witold Gombrowicz, **KOSMOS**, dzieła zebrane t. IV, Instytut Literacki, Paryż, 1970, str. 159, cena: 31 sh.

Aleksander Janta, **SCHRON**, epilog w jednej odsłonie, „Tematy“, 1970, stron 23.

Eugeniusz Żytomirski, **POLSKA, KTÓRĄ OPUŚCILIŚMY**, Gryf Publications Ltd., London, 1970, str. 100, cena: 21 sh.

Eugeniusz Żytomirski, **OCZY JAK BURSZTYNY**, powieść, Gryf Publications Ltd., London, 1970, str. 134, cena: 21 sh.

Kazimierz Dąbrowski, Andrzej Kawczak, Michael M. Piechowski, **MENTAL GROWTH** through positive disintegration, Gryf Publications Ltd., London, 1970, pages 184, price 4.50 dol., £1.16.0.

Paweł Cienin, **MYŚLI I AFORYZMY EGZYSTENCJONALNE**, Gryf Publications Ltd., London, 1970, str. 36, cena 7/6.

GRYF PUBLICATIONS LTD.

Już się ukazał

PORADNIK

DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI

Opracowanie Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą

KSIĄZKA NIEZBEDNA W RĘKACH KAŻDEGO NAUCZYCIELA POLSKICH SZKÓŁ SOŁOTNICH

Do nabycia:

Cena: 10/-

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7. gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francję — S. Horodyski, „Le Pavillon“, 1 rue de la Chèvre d'Or, 13 — Salon de Provence; w BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: Kiermasz Książki Polskiej, 4500 Soleure, Case Postale 145; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNYE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit, 11, Mich. oraz ogniwa S. P. K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 4/-, dol. 0.50, Fr. 2.70. PRENUMERATA — kwartalnie: £0.12.0, dol. 2.00, Fr. 8.00; półrocznie: £1.4.0, dol. 4.00, Fr. 16.00; rocznie: £2.8.0, dol. 8.00, Fr. 32.00 — wzgl. według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

niez w artykule „Mózg Armii“ i w „Wia-
domościach“ z 22/29 marca tegoż 1970
roku), że „Komendant Główny zdecyd-
wał się na rozbięcie Legionów, mających
być kadrą armii“.

Gen. Kukiel pisze w liście do redakcji,
że dlatego nie pomijał „milczeniem wiel-
kich w wym przekonaniu pomyłek Piłsud-
skiego“.

Te wielkie zdaniem autora monografii
o gen. Sikorskim — „pomyłki Piłsudskie-
go“ — uznane zostały dawno przez
wszystkich od listopada 1918 roku poczy-
nając, jako najbardziej przewidujące i
mądre posunięcia i jako takie weszły do
historii.

Stwierdzają one, że jedynie słuszną była
polityka Piłsudskiego „grania wżwyż“ —
począwszy od 1914 roku w stosunku do
Austrii i potem Niemiec — a nie szefa
departamentu wojskowego N.K.N. ppłk.
Wł. Sikorskiego. Jestem przekonany, że
tego zdania był również płk. Sikorski,
może już po Rarańczy i Kaniowie, ale
przede wszystkim gdy w 1918 roku jako
dowódca grupy operacyjnej, dzielnie wal-
cząc na froncie meldował się pierwszy
raz po wielu latach u Piłsudskiego, jako
wodza naczelnego.

I ponoć miał mu wtedy powiedzieć: —
„kazałem wszystkie akta, dotyczące
współpracy pana z A.O.K. (Armee Ober-
Kommando) i płk. Hranilovicem (opiekun-
em politycznym Legionów) — spalić.“

Przyrzeczenie zostało dotrzymane — wi-
dzimy Sikorskiego, jako dowódcę 5 armii,
z Virtuti Militari 2 klasy i w lojalnej
współpracy z Piłsudskim, aż do powola-
nia na Szeffa sztabu generalnego. — „Ha-
bemus papam“ — usłyszał wtedy autor.

Nowy rozdział następuje dopiero w
związku z ustawą o najwyższych wła-
dzach wojskowych.

Powołując się na Sokolnickiego gen.
Kukiel ani słowem nie wspomina o za-
rzutach i b. krytycznych uwagach jakie
„Rok 1914“ — ostatnia praca Sokolnic-
kiego wywołała. W 2-ch artykułach, ogło-
szonych kolejno w „Tygodniku Polskim“
w wrześniu 1961 r. — Bogusław Mie-
dziński przeprowadził znakomitą i rzeczo-
wo popartą krytykę tej książki, jako au-
tentyczny „świadek historii“.

Szczupłe ramy listu nie pozwalają na
zacytowanie choćby niektórych stwierdzeń
Miedzińskiego.

Wywołały one odpowiedź Sokolnickiego
pt. „Psychika i polityka Józefa Piłsud-
skiego“, w której zauważa m.in. na za-
kończenie swych wywodów:

„Ale gdy piszę o Józefie Piłsudskim,
gdy czuję na sobie jego przejmujący
wzrok i słyszę jego ważne słowa, to sta-
ram się być po prostu jego kronikarzem,
zapisywać co pamiętam, ustalać prawdę
tamtego czasu. Albowiem treść wydarzeń,
których byliśmy uczestnikami i psychika
człowieka, który żył i działał z nami, tak
nas przerasta, iż tylko największym wysi-
łkiem pamięci możemy dojść do ich
zrozumienia“.

Z braku miejsca nie mogę również bli-
żej omówić przypominanego przez gen.

Kukieła listu Piłsudskiego z Magdeburga
do ks. regenta Z. Lubomirskiego; omówił
to rzeczowo B. Miedziński w swoich wy-
wodach.

28 lipca 1918 r. — bo z tej daty po-
chodzi ten list — Piłsudski w obliczu
nadhodzącej klęski Niemiec — pragnie
być w Polsce, by móc kierować organiza-
cją państwa i sił zbrojnych. Ale nie zga-
dza się i wówczas jak i w listopadzie na
żadne ograniczające swobodę jego polityki
— wyrzeczenia.

Dodać tu należy, że i w Polsce odczu-
wano mocno konieczność uwolnienia Pił-
sudskiego z Magdeburga, skoro w gabinet-
cie Świeżyńskiego, ze Stronnictwa Naro-
dowego, więzień magdeburki zostaje po-
wołany na stanowisko ministra wojny.

Co do układu z Sowietami w 1941 r. —
generał zarzuca mi, że „zdaje się nie ro-
zumieć dlaczego był konieczny“.

Świetnie zdaje sobie z tego sprawę.
Ale równocześnie pragnę przypomnieć,
że w ręku premiera polskiego znajdował
się dokument niezwyklej wagi „Układ o
wzajemnej pomocy między Zjednoczonym
Królestwem a Polską z 25. 8. 1939 r.“

Znów z braku miejsca przytoczę tylko
najważniejszy punkt z protokołu do tego
układu:

„W razie gdyby jedna z układających
się Stron zaciągnęła wobec państwa trze-
ciego zobowiązania wymienione w artykule
6 Układu, będą one z konieczności sformu-
lowane w taki sposób, aby ich wyko-
nanie nigdy nie naruszyło ani suweren-

ności, ani terytorialnej nienaruszalności
drugiej układającej się Strony“.

„Pacta sunt servanda“ — ta sankcja
prawa międzynarodowego na pewno zo-
stałaby uszanowana i była świętą obro-
ną mimo niewątpliwych nacisków zarów-
no Churchilla i Edena, jak i Majskiego.

A przede wszystkim dra Rettingera.
W końcu pragnę dodać, że nadwyższe-
nie wzroku — na szczęście dla mnie na
razie nieistotne — nie tylko pozwoliło
mi dwukrotnie przeczytać książkę gen.
Kukieła z wszystkimi przypisami ale rów-
nież całą potrzebną dokumentację, zawar-
tą w książkach gen. Sosnkowskiego, So-
kolnickiego i Pragera oraz tak ważną
wymianę poglądów Miedzińskiego z auto-
rem książki „Rok 1914“.

Uczestniczyłem również w zebraniach
dyskusyjnych, organizowanych przez In-
stitut Piłsudskiego czy też Ligę Niepod-
ległości Polski o pakcie Sikorski—Majski.
Słuchałem pilnie wywodów i krytyk a
słuch i pamięć — jak tuszę — nie zawo-
dzi jeszcze.

Łączę wyrazy poważania
Stefan Benedykt
Londyn, 1970 r.

P.S. — W tym samym powakacyjnym
numerze „Orla Białego“ ukazał się list
p. A. Rawicza-Szczerbo pt. „Antyrecen-
zja“.

Wywody te są tak pogmatwane i, nie-
stety, niektóre utrzymane w napastliwym
tonie, że nie widzę możliwości podjęcia
z nimi dyskusji.

K R Z Y Ż Ó W K A N r 130/70

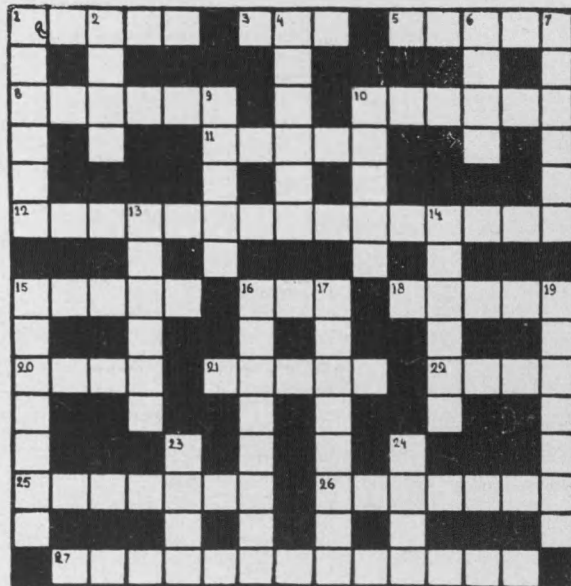
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) związa-
ny ze Złotą Bramą; 3) i
16) latorośl indiańska?; 8)
...prask (wspak); 10) imię
bizantyjskie; 11) silna i
zamożna garść?; 12) zaby-
tek krakowski (dwa sło-
wa); 15) następca Włodzi-
mierza Wielkiego w Kijo-
wie; 20) karczma z Pana
Tadeusza; 21) taka może
być wiadomość (wspak);
22) głos zza komina; 25)
tania pozłota (wspak); 26)
występuje w nim Masynis-
sa; 27) na niewidocznym,
skromnym miejscu (trzy
słowa).

Pionowe: 1) małe dziec-
ko; 2) i 6) sprytni, prze-
myślni; 4) przykry czło-
wiek z apteki?; 7) druga
cecha wyborowej; 9) uczu-
cie (wspak); 10) naczynie,
może być w krajobrazie
(wspak); 13) zastój; 14)
z bronią, z gniewem czy
nawet z żartem; 15) rzemieślnik; 16)
wyspa, słynna z goździków; 17) oczeki-
wanie najgorszego; 19) np. świadek; 23)
napastliwy owad; 24) rodzaj cła.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 129/70

Poziome: 1) i 5) zawierucha, 2) i 16)
Chocim, 8) Salome, 10) arenda, 11) lizus,



12) prawda w oczy kole; 15) i 18) za-
przaniec, 20) i 22) tarapaty, 21) glina,
25) garmond, 26) igielki, 27) Jan Skrzy-
necki.

Pionowe: 1) zastęp, 2) i 6) waleczny,
4) huczno, 7) akacje, 9) Elgar, 10) szosa
(wspak), 13) Wersal, 14) kanapa, 15) za-
targi, 16) cylinder, 17) manekiny, 19)
czynnik, 23) mops, 24) Epir (wspak).

PODRĘCZNIKI

dla szkół przedmiotów ojczystych

Jadwiga Otwinowska

UCZMY SIĘ PISAĆ Cz. I

Spółgłoski twarde, miękkie i zmiękczone.
Wydawn. PMS — Willesden Green

Jadwiga Otwinowska

UCZMY SIĘ PISAĆ Cz. II

Spółgłoski dźwięczne i bezdźwięczne. 95 ćwiczeń,
10 tekstów prozy i wierszy do przepisywania
i dyktanda. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

UCZMY SIĘ PISAĆ Cz. III

ó-u, e, a, em, en, om. Wyd. Gryf Publications.
(Cz. IV i ostatnia w druku)

Aleksander Patejdl

GRAMATYKA POLSKA

Wyd. PMS

Celina Mikołajczak

JAK UCZYĆ CZYTANIA I PISANIA

Książeczka dla rodziców i nauczycieli.
Wyd. PMS

Anna Bogusławska

POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

Podręcznik dla nauczycieli i rodziców.
Wyd. Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego
Zagranicą

Maria Goławska

WYPISY NA KL. V

Książka dla dzieci w wieku lat 12—13.
Wyd. PMS

Barbara Krawczyk

UCZMY SIĘ PO POLSKU

(Let's learn Polish)

Cz. I i II

Podręcznik do nauki dzieci nie umiejących
po polsku. Wyd. PMS.

(Cz. III i ostatnia w przygotowaniu)

Anna Bogusławska

U BABCI I DZIADKA

Książeczka z ćwiczeniami dla dzieci
przerabiających końcową część
elementarza.

Wyd. Gryf Publications

Jadwiga Otwinowska

UMIEM JUŻ CZYTAĆ

Książeczka po-elementarzowa. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

DZIECI Z BIAŁEGO DOMKU

Czytanki dla kl. II szkół ojczystych.
Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

MOJA CZYTANKA

Podręcznik do nauki j. polskiego dla kl. III
szkół ojczystych. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

CZYTANKA NA KL. IV

Podręcznik do nauki j. polskiego dla dzieci
od lat 10—12. Wyd. PMS

Jadwiga Otwinowska

W KRĘGU DZIELNOŚCI I PRACY

Czytanka dla młodzieży szkół ojczystych na kl. VI.
Wyd. PMS

Do nabycia:

KSIĘGARNIA S. P. K. 20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.